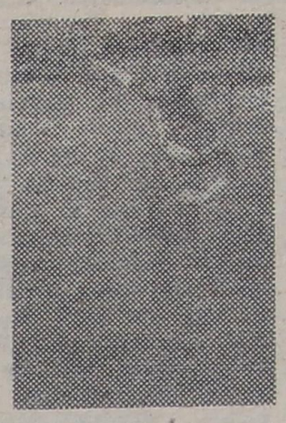


tępię plugastwo 3



polskie zakręty 12
alarm dla władz 1



alarm dla Biebrzy 13



tym co w boju zapragnęli słynąć 14

BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

23
(50)
KONTAKTY
14 VI 1981
Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

polski dylemat

chocholi taniec

nadzieje i zwątpienia

Stefan Maciejewski, publicysta

Oby tym razem nadzieja nie była matką głupich i naiwnych, bronią słabych, pokarmem głodnych!

Nadzieja jest wiarą optymistów. Jak się ma jednak w obecnej rzeczywistości odnaleźć z natury pesymista, sceptyk i realista? Dalej stąd mi do nadziei, bliżej do zwątpień. Tymczasem domyślam się, iż „Kontakty" oczekują ode mnie wypowiedzi konstruktywnej *ergo* budującej, z uzasadnieniem nadziei na lepszą przyszłość naszego kraju i jego ludu — a nie łakomej pożywki dla cenzury. No cóż, spróbuję swój sceptycyzm uczynić pozytywnym...

Od lat trzy plagi nękały Polskę; demoralizacja ubezwłasnowolnionego społeczeństwa, autokratyzm władzy, graniczący z bezprawiem, i totalny chaos gospodarczy.

Ratowanie, uzdrawianie czy, jak to się powszechnie mówi, odnowa kraju — jeżeli ma przynieść rzeczywiste, prawdziwe i korzystne efekty — musi przebiegać jednocześnie i równolegle w trzech ściśle z sobą

CIĄG DALSZY NA STR. 4

CZESŁAW
MIŁOSZ
TAKIM GO PAMIĘTAJĄ

STR. 8-9-10

Stefan Kardynał Wyszyński

(wspomnienie)

Przed chwilą radio przerwało nadawanie programu, aby przekazać wiadomość, którą miliony rodaków przyjmą z ogromnym żalem i troską: Ksiądz Prymas Wyszyński nie żyje.

Nie żyje ten, który dla wiernych był Dobrym Pasterzem, dla współpracowników — troskliwym opiekunem, dla większości Polaków najwybitniejszym mężem stanu, jakiego mieliśmy od śmierci generała Sikorskiego. Człowiek wielkiego formatu, fascynujący swoją mądrością i prostotą. Uosobienie najlepszych cech tego narodu: skromności, stanowczości, uczciwości, uznawania racji wyższych niż doraźne odczucia.

Umiał powiedzieć „nie", ale w momentach kryzysowych potrafił ratować i te władze, które jemu osobiście wyrządziły tyle krzywd. Wiedział bowiem jakiej nadrzędnej sprawy broni. W kraju, który stworzył najmądrzejszą formułę tolerancji — owo zawołanie króla Zygmunta Augusta: „nie jestem władcą sumień waszych" Stefan Kardynał Wyszyński był tych sumień powiernikiem i Nauczycielem, niekwestionowalnym autorytetem moralnym.

Może dlatego, że umiał słuchać, rozmawiać, żądać. Pochodził z ludu i rozumiał lud. Tak jak może go rozumieć ktoś, kto zawdzięczając wytężonej pracy swoje sukcesy i pozycję, nigdy nie zapominał o genealogii własnej i realiach codziennego bytowania. Niezależnie od inspiracji chrześcijańskich przesłanie moralne księdza Wyszyńskiego zawierało treści żywe, aktualne i dziś, a może; zwłaszcza dziś. Ich osnowa, to zerwanie z wykorzenieniem człowieka i anonimowością stosunków międzyludzkich, a więc program wszelkiego humanizmu. Był praktykiem, umiał te przemyślenia i refleksje przełożyć na język działania.

Jak cierpliwie i mozolnie budował autorytet Kościoła polskiego w Rzymie! W latach sześćdziesiątych nasz ksiądz Prymas był chyba jednym z najbardziej popularnych cudzoziemskich kardynałów. Po wystawie: Chiesa che tace (Kościół milczenia) popularność ta jeszcze bardziej wzrosła. Obiektywni historycy ocenią, w jaki sposób Chiesa che tace wpłynęła na zawarcie porozumień między Stolicą Apostolską a Jugosławią i Węgrami. Mieszkańcy robotniczego Zatybrza, włoscy parafianie księdza Prymasa nazywali swego tytularnego proboszcza „Il Principe" (książe). A u nas, obrana z rozumu i znajomości spraw propaganda znieważyła Go. Po liście biskupów polskich do biskupów zachodnioniemieckich posypały się „demaskatorskie broszury". Jerzy Putrament grzmiał w Związku Literatów, przedrzeźniając owo słynne „Przebaczamy" — że jest to akt zdrady narodowej nowa Targowica. Czego się spodziewał? Że biskupi katoliccy zaczną szerzyć nienawiść? Również i z politycznego punktu widzenia ataki Putramenta i jemu podobnych były albo świadectwem niewiarygodnej wprost ciemnoty, albo cynicznej perfidii.

O politycznym kontekście całej sprawy dowiedziałem się z ust księdza Prymasa. Jesienią 1967, po napisaniu kilkudziesięciu ostrych, niedrukowalnych wówczas wierszy (cykl „Warszawa Ozyrysa" i „Goyescas"), przeżywałem ostry kryzys moralny. Moja świeża jeszcze legitymacja PZPR-u obrosła już wieloma wątpliwościami.

Wypełniłem kartę audiencyjną i po kilkunastu dniach otrzymałem list od sekretarza Prymasa — księdza dr. Edwarda Puacza. Oczywiście, nie ukrywałem tego, że jestem członkiem PZPR-u, nie zamierzałem udawać prozelity, który odepchnięty przez jednych przychodzi do drugich. Chciałem jedynie wiedzieć, czy jest w Polsce jakaś siła zdolna przeciwstawić się temu ogromowi nieprawości. Po kilku godzinach rozmowy przerywanej „znaczącymi" wejściami księdza sekretarza, opuściłem rezydencję w przeświadczeniu, że taką siłą moralną jest Kościół kierowany przez księdza Prymasa. Rozmawialiśmy o komunizmie włoskim, Gramscim, wystawie Chiesa che tace, Kopernikú i muzeum kopernikańskim w Rzymie, o Włocławku, PPS-ie i Niedziałkowskim, encyklikach społecznych Kościoła, „Paxie", literaturze katolickiej, klasowych związkach zawodowych i robotniczych organizacjach chrześcijańskich. Ksiądz Prymas wypytywał mnie o matkę i rodzinne pepeesiackie tradycje. Ucieszył się, gdy powiedziałem Mu, że z Jego rąk, w Lublinie, otrzymałem sakrament bierzmowania: — Dla mnie jest Pan nadal członkiem wielkiej communitas. Proszę tylko nie zaprzeczać. Bierzmowanie to ważny sakrament.

Zaimponował mi głęboką znajomością środowiska i ethosu robotniczego. A przede wszystkim dowiedziałem się, że od 1955 polska dyplomacja różnymi drogami dążyła do nawiązania kontaktów z rządem NRF-u (jak wówczas określono to państwo — przyp. A.T.). W latach 1957—1981 ekipa Rapackiego wysiłki te zwiększyła. Informacje uzyskane od księdza Prymasa w innym świetle ukazały mi brutalną nagonkę na biskupów, dopomogły później w napisaniu eseju „Koniec teorii dwóch wrogów". Przez cały czas trwania rozmowy nurtowało mnie pytanie, co wybrałby ksiądz Prymas w przypadku trwałej rozbieżności interesów Kościoła i Polski?

Dalszy dialog przyniósł rozstrzygnięcie i tego problemu. Po prostu ksiądz Prymas nawet w myślach nie dopuszczał takiej sytuacji. Oczywiście ryzykował. Historia dowiodła, że było to ryzyko uzasadnione. Jeszcze dziś, wspominając tamtą pierwszą rozmowę sprzed lat, zastanawiam się nad dziwnym fenomenem Jego osobowości. Tylko ludzie naprawdę wielcy mają w sobie tę rzadką umiejętność tworzenia atmosfery szczerości świadomie kierowanej, zapobiegającej ujawnieniu różnic poglądów w sprawach zasadniczych. Dzieliło nas prawie wszystko: filozofia, wiek, doświadczenia, pozycja społeczna. Ja byłem prawie nikomu nieznanym 30-letnim poetą. On chyba najbardziej popularnym Polakiem, znakomitym kaznodzieją, dostojnikiem tysiącletniego Kościoła. A przecież w sposób nieskrępowany wypowiadałem swoje opinie.

Bo nie było w Nim żadnych sztucznych autorytetów wielkości. Żartował i śmiał się, słuchał i opowiadał dowcipy. Często w Jego głosie brzmiała ironia i sarkazm. Obok żalu, smutku i pewności. Co najmniej w 90 procentach nasze opinie były zbieżne lub tożsame. Oficynę rezydencji arcybiskupów w Warszawie opuściłem przekonany, że więcej łączy mnie z tym człowiekiem niż ze wszystkimi znanymi mi osobiście członkami Partii.

Szedłem piechotą na Żoliborz, aby przemyśleć tę rozmowę. I jak zawsze nastrojowi nadziei i pocieszenia towarzyszyła gorycz wielu smutnych refleksji. W domu napisałem wiersz, może niezbyt efektowny, ale zespalający wrażenia z rozmowy i jej szerszy kontekst społeczny. Przyświecająca przesłaniu myśl, że fundamentem moralnym jedności narodowej powinien być głęboki, jednostkowo i formalnie zróżnicowany opór przeciwko Złu, to nauka jaką wydobyłem ze słów wielkiego Polaka. A oto ów tekst:

* * *

baudelaire od dzisiaj jest w sojuszu
z biskupem biednym możnowładcą...
Niech skarga dotrze do twych uszu
obyś się opamiętał władco

Żebyś pokrętny sens historii
na ludzki jakoś przetłumaczył
Czekają cisi i pokorni
i zbuntowani bo inaczej...
[1967]

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

Cz. Miłosz w Łomży



5 CZERWCA Czesław Miłosz przyjechał do Polski. Bezpośrednim motywem odwiedzin ojczystego kraju było przyznanie mu tytułu doctora honoris causa przez Katolicki Uniwersytet Lubelski. W końcowej fazie swego tournee Czesław Miłosz będzie gościć w Łomży, i na Suwalszczyźnie. W dniach 16—17 bm. w ramach Łomżyńskiej Wiosny Poetyckiej odbędzie się sesja literacka pod hasłem „Być poetą". W pierwszym dniu referaty wygłoszą Artur Międzyrzecki, Janusz Maciejewski i Krzysztof Karasek.

Drugi dzień będzie poświęcony twórczości Czesława Miłosza, o której mówić będą m.in. Irena Sławińska i Jan Błoński.

W trakcie wizyty zostanie również otwarta wystawa „Szczęśliwy naród, który ma poetę...", poświęcona laureatowi Nagrody Nobla; odbędą się spotkania autorskie oraz recital poezji Czesława Miłosza w wykonaniu Stanisława Klawe i Olgierda Łukaszewicza.

DOBIEGAJĄ KOŃCA przygotowania do III Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-wyborczej PZPR. W poniedziałek (8 VI) Plenum KW PZPR zaakceptowało sprawozdanie z działalności wojewódzkiej instancji partyjnej w okresie 1980—81, które zostanie przedłożone delegatom.

SPRAWA PRZEKAZANIA gmachu KMiG PZPR w Zambrowie na potrzeby służby zdrowia była tematem kolejnego spotkania przedstawicieli władz wojewódzkich, miejscowej „Solidarności" i wysłanników MKZ „Mazowsze". W trakcie rozmów zapoznano się z ustaleniami wcześniej powołanej Komisji Rzeczoznawców, która orzekła, iż budynek w całości nadaje się na ten cel. Według ich opinii można tam urządzić 8 gabinetów specjalistycznych, salę do gimnastyki korekcyjnej, mieszkania na hotel dla pielęgniarek i in.

Warto dodać, że Zambrów od lat czeka na poprawę bazy lokalowej w lecznictwie otwartym, a postulat o przejęciu budynku przy ul. Wojska Polskiego wysunęli właśnie pracownicy zambrowskiego ZOZ-u.

WALNE ZGROMADZENIE Wojewódzkiej Federacji Sportu w Łomży wybrało nowy jedenastoosobowy zarząd. Prezesem został Zbigniew Żukowski, wiceprezesem urzędującym Henryk Trojanowski, a kierownikiem wyszkolenia Bogdan Szpurko Ponadto w skład zarządu weszli przedstawiciele klubów i związków sportowych.

WPRAWDZIE WAKACJE już się zaczynają, ale nie znaczy to wcale, że cała łomżyńska oświata uda się na zasłużony odpoczynek. Kuratorium i dyrektorzy gminnych szkół zbiorczych mają w tym roku więcej pracy niż zwykle, bo trzeba będzie do września otworzyć wiele pełnych ośmioklasowych szkół, które ostatnia reforma niebacznie zlikwidowała. Roboty jest huk: trzeba m.in. pozyskać ponad czterystu nauczycieli. Skąd — tego jeszcze nie wie nawet sam kurator.

POWROTU SZKOŁY doczekali się również mieszkańcy Obrytek w gminie Szczuczyn. Entuzjazm mieszkańców wsi jest tak ogromny, iż na jesieni urządzają z tego powodu ogólnopolskie pieczenie barana i ponoć mają na nie zaprosić wszystkie siły, które pomogły im w szczęśliwym dobrnięciu, zwłaszcza w starciach z dyrektorem Gminnej Szkoły Zbiorczej

OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA w Andrzejewie wyszła na sprawowaniu funkcji prezesa przez naczelnika gminy jak Zabłocki na mydle. Strażacy nie mieli w gminie przez to żadnych przywilejów, nawet ulg podatkowych. Ba! Musieli jeszcze wpłacić na budowę ośrodka zdrowia haracz w wysokości 80 tysięcy złotych. Do dziś żaden z nich nie wie, na jaki cel naprawdę poszły te pieniądze. Na zebraniu strażacy powiedzieli więc szczerze, co myślą o naczelniku. Ten nie pozostał dłużny i zagroził rezygnacją z funkcji prezesa OSP. Słowa dotrzymał, lecz pieniędzy nie zwrócił i ulg podatkowych nie uwzględnił.

PREZYDIUM RADY Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w Sokołach coraz śmielej przystępuje do działania i obrony interesów rolnika. Ostatnio wydało wszystkim sołtysom sokołowskiej gminy polecenie sporządzenia wykazów rodzin chłopskich w celu sprawiedliwego przydziału proszków do prania. Egzemplarze listy otrzymali: GS, GZKiOR oraz najbliższy sklep w terenie, który nie prowadzi sprzedaży mięsa. Mamy nadzieję, że za tym przykładem pójdą również chłopskie organizacje pozostałych gmin.

W OSTATNIM DNIU maja mieszkańcy Jankowa Młodzianowa oraz dwu sąsiednich wsi otrzymali linię autobusową, łączącą ich z Łomżą i Nowogrodem. Uroczyste przecinanie wstęgi obserwowało około sto osób, których przedstawiciele udekorowali autobus naręczami kwiatów. Kierowca — witany jako główny dobroczyńca — miał natomiast tylko jedno życzenie: poprosił zgromadzonych o papierosa. Zamiast laurów.

W OŚRODKU ZDROWIA w Nurze już od kilku lat nie ma lekarza internisty. Ktoś genialny z wysokomazowieckiego ZOZ-u zarządził wypełnienie tej luki drugim... stomatologiem.

zdarzenia

Telefonogram otwarty

Zwracam się do społeczeństwa Ziemi Łomżyńskiej z prośbą o poparcie apelu do władz miasta, by jak najszybciej przemianować jedną z ulic śródmieścia Łomży (propozycja do szczegółowego uzgodnienia) na ulicę „Stefana Kardynała Wyszyńskiego".

Uzasadnienie:

Zgon wielkiego Polaka napełnił smutkiem cały nasz naród. I chociaż ból powszechny jest niepodzielny, szczególnie dotkliwie tę stratę odczuło społeczeństwo Ziemi Łomżyńskiej. Na terenie diecezji Łomżyńskiej Ksiądz Prymas spędził swe dzieciństwo, w Łomży uczęszczał do gimnazjum. Tu mieszkał na stancji, prawdopodobnie w różnych miejscach. Pamięć o tych miejscach zatarła się. Niemniej słusznym jest, aby przynajmniej któraś z ulic, po których stąpał przyszły Ksiądz Prymas, nosiła Jego nazwisko.

Szybka realizacja tej inicjatywy oznaczałaby poparcie idei jedności moralnej wszystkich Polaków. Tej idei, której wiernie służył wielki patriota i Polak, książe Kościoła — Stefan Kardynał Wyszyński

Warszawa 28.V.1981 r.

Andrzej Tchórzewski

STARCIA — klub dyskusyjny „Kontaktów”

tępią

IRENEUSZ POLAK — rolnik ze wsi Srebrne, gmina Szumowo: — Pozwólcie, że i ja włączę się do odpowiedzi na Wasz list, choć nikt mnie o to nie prosił, rezerwując jakby to prawo tylko dla członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej. Mam jednak wiele refleksji i własnych spostrzeżeń, które chciałbym zaprezentować na naszym największym forum, jakie wraz ze swoimi Czytelnikami stanowią „Kontakty”. Dziwię się, że niektórzy członkowie Partii, do których redakcja zwróciła się z listem, byli wręcz zdumieni, że można ich o coś pytać. A przecież z moich przeżyć dobrze wiem, że słowo „towarzysz” oznacza człowieka chętnego do wymiany poglądów, myśli, chętnego do dyskusji, autentycznego działacza, aktywistę, pragnącego wiele zmienić na lepsze — słowem, czynem, postawą.

Czymże można wytłumaczyć tę niechęć mówienia wielu członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej, gdy na szali odnowy i wszystkich w kraju wydarzeń waży się charakter partii, jej siła, zdolność działania. Co można powiedzieć o tych ludziach, którzy tradycyjnie już uchodzą w swoim środowisku za znanych działaczy i tu, w tak wielkiej sprawie, przyjmują postawę, jakby nagle wyzionęli ducha. Zrezygnowali? Zniechęcili się? Czekają na przychylniejszy kierunek wiatru? Myślą tylko o sobie? Kaganów, bo wiedzą, że Polak ich nie zawiedzie.

Ostatnio, na gminnej konferencji programowo-wyborczej, powiedziałem: „Doczekaliśmy się chwili bardzo krytycznej. Nasza cała gospodarka narodowa osiągnęła dno. Może potrzeba było aż takich przeżyć i aż takich wydarzeń, żeby w naszym kraju, w którym rządy sprawowała ponoć partia klasy robotniczej, robotnik i chłop doszli wreszcie do autentycznego głosu. Cieszę się, że możemy teraz mówić o tym, co nas naprawdę boli.”

Przy każdej okazji podejmuję sprawy chłopów i sytuacji społeczno-gospodarczej wsi. Martwią mnie bardzo zaniedbania urządzeń melioracyjnych. Przedsiębiorstwa mają coraz więcej urzędników, a rowy zarastają. Tłumaczą nam; „Nie mogliśmy ich konserwować, bo znów był mokry rok”. Robotę mogli zacząć już w kwietniu — nie zaczęli. Jak mokro — zwalają na pogodę. Jak sucho — też na nią, bo jak tu w takie ciepłe, słoneczne dni, jak ostatnio, brać się do łopaty. Nie chce im się, gdy słonko grzeje. Nie chce, gdy pada. Tylko nam, chłopom, zawsze się musi chcieć robić. Z biur, urzędów tylko ponaglania i żądania: „Dajcie produkcję”. Ale nam nic nie dają: ani maszyn, ani nawet najprostszych narzędzi, nie mówiąc już o środkach na kulturę, która jest w gminie nadal na ścisłej diecie, jak ciężko chory człowiek. Co wyżebrzesz, co wymyślisz, to masz.

Żądamy rozliczenia na górze, ale żądajmy go też i na dole. U nas, w Srebrnej, sporo organizacji: ZSMP, straż pożarna, kółko rolnicze, ale współdziałanie między nimi pod psem. Każdy ciągnie do siebie. Świetlica w tańcbudę przemieniona. Urządza w niej zabawy każda organizacja, ale żeby odłożyć trochę pieniędzy na jej remont, to nie. To na cóż idą te dochody?

Kultura w Srebrnej, to te zabawy i zakupiony za społeczne pieniądze telewizor kolorowy, ale i ten chodzi tylko w mieszkaniu świetlicowej, rekompensując jej pewnie marny etat. Marny, ale z zaletą: nie trzeba nic robić.

Takie właśnie sprawki wyciągam na różnych zebraniach. Kiedy zaczynam mówić, zawsze — jak na zaklęcie — robi się cisza koło mojej osoby. Ale nie zrażam się tym. Nadal walczę o sprawy publiczne rolników i oni o tym wiedzą. Swoje — przegrywam. Ciężko mi jest w gminie załatwić cokolwiek. Jeśli muszą mi coś sprzedać, to w kwitach pokręcą, no — oczywiście — nie na ich niekorzyść. I muszę odkręcać, bywa że latami.

W 1978 roku chciałem pobudować oborę. Miałem kartę gospodarstwa specjalistycznego. W zagrodzie stało dużo krów. Dwie sztuki na jeden hektar. Gdyby tak w każdym gospodarstwie, to Łomżyńskie byłoby w hodowli najlepsze. Ale chyba nie chce być, bo dla takich jak ja, nie ma żadnego wsparcia.

W gminie, co prawda, dali mi zezwolenie na budowę obory. Wyrobiłem plan i stop. Okazało się, że pożyczki to bank mi przyznać nie może. Odwołałem się do banku centralnego, lecz stamtąd odpowiedzieli: „Nie możemy przydzielić kredytu, bo gmina nie zapewnia panu materiałów”. Innych gmina poparła. Dostali pożyczki i materiały. Trudno. Polak szuka guza, to i ma. To nic, że racja po mojej stronie, nie po raz pierwszy.

Przed tym, co dzisiaj stało się w naszym kraju, ostrzegałem od lat. Nikt takich jak ja nie słuchał. Jakby ci, co rządzili, nie mieli uszu.

Tydzień temu poszedłem na zaplecze sklepu. Mam prawo. Jestem przecież w komitecie członkowskim. Najpierw przesunęli mnie z drugiego kandydata na czwartego. Nie wiem, czy według alfabetu, czy uważania. A później — jako że wśród delegatów było najwięcej administracji, pojechali długopisami po moim nazwisku. I Polak — jako jedyny rolnik kandydujący na delegata na wojewódzką konferencję partyjną, odpadł. Jednym głosem pobili mnie prezesi i dyrektorzy. Widać, jesteśmy temu towarzystwu niepotrzebni. Ale ja i tak na tę konferencję do Łomży pojadę, żeby jedyny chłopski głos z gminy Szumowo przedstawić.

Nie mogę dopuścić, aby ci, co moje miejsce zajęli, robili w gminie odnowę taką, po której chłop znów będzie chodził od urzędu do urzędu i pytał się portiera, czy może wejść do środka. Wstyd o tym pomyśleć.

W naszej gminie było tyle kantów, tyle narzekań, a do komitetu i egzekutywy weszli ci sami ludzie. Co oni zrobią? Najwyżej nowe kanty. Nic poza tym. Jaki będzie autorytet tych przedstawicielstw? Rączka ściska rączkę. Razem trzymają się. Razem pojadą prezentować Szumowo na wojewódzkiej konferencji.

Tak po prawdzie, to powinien przejść w wyborach tylko I sekretarz Komitetu Gminnego. Rzeczywiście, jest dobrym człowiekiem. Pamiętam, jak pracował w służbie rolnej. Były na czas opryski, omłoty, wszystko. Jak trzeba było, za traktorzystą na pole pojechał. Teraz tego nie ma. Są prezesi i dyrektorzy. Są fotele i lśniące biurka, a za drzwiami czeka... rolnik.

Mówimy: trzeba rozliczyć Gierka i całą górę, która doprowadziła kraj do takiego upadku. Owszem. Trzeba ich rozliczyć, ale nie możemy też zapomnieć o notablach terenowych — takich, jak naczelnik gminy Szumowo. On nie powinien nim być nawet przez jeden dzień. Przecież to pan i władca. Robi, co tylko mu się podoba. A i w partyjnych wyborach uzyskał największą ilość głosów. Stary lis. Wie jak przejść. W odnowie niby obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, ale kręci dalej.

Czy my, rolnicy, możemy liczyć na przychylniejsze czasy? Nie tak dawno instruktorzy zachęcali nas do siewu kukurydzy. Wielu skusiło się. Ale czym ją będziemy zbierać? Sprzętu nie ma. Już pojąłem, że im bardziej nas do czegoś namawiają, tym ostrożniej do tego trzeba podchodzić.

Czas najwyższy ustawić nasze rolnictwo nie w próżni, lecz na ziemi, ziemi zawsze nam bardziej przychylnej, niż urząd.



Rysunek Grzegorza Szumowskiego

plugastwo

Patrzę, sklepowa trzyma plik pieniędzy. Skąd to pani ma? — pytam. — Chyba nie z utargu, bo półki puste. Nie wiedziała jak wybrnąć, bo przecież wiadomo, że handluje tylko ze swoimi. Nie jest to jedyna sprawa.

Przywożą mięso. Ani chłodni. Ani lodówki. Psuło się bardzo szybko. Zadzwoniłem do WZGS-u. Dostaliśmy nowe urządzenia chłodnicze, ale podłączyć ich nie ma komu. Spece mieszkają aż w Grajewie, przyjadą, kiedy im się spodoba. Szlag człowieka trafia na tę bezsilność. Śmierdzące mięso zabierali do baru w Szumowie. Podniosłem krzyk. Pomogło.

Teraz tworzymy „Solidarność”. Doszedłem do wniosku, że chłop ma wiele instytucji, ale jak przychodzi do obrony jego interesów, to zostaje sam. Wszystkim obce są jego sprawy. W Srebrnej liczymy już ponad czterdziestu członków.

Na gminnej konferencji programowo-wyborczej dyrektor Banku Spółdzielczego zgłosił moją kandydaturę na delegata do województwa. W dyskusji głos miałem mocny. Gdyby wśród delegatów było więcej chłopów, miałbym poparcie. A tak, zaszkodziłem tylko sobie.

postawy

kontakty kontaktów

Komunikacja miejska dla miasta i okolicznych wsi to bez wątpienia wielkie udogodnienie. Jednak dla nas mieszkańców bloku nr 22 przy ul. Pięknej w Łomży, odkąd tuż przy bloku zlokalizowano przystanek autobusowy linii 8, stała się utrapieniem. Codzienne oczekiwanie pasażerów ZKM pod oknami bloku daje rezultat w postaci wybitych szyb w oknach piwnicznych, połamanych drzewek, zdeptanych trawników, krzewów żywopłotu i róż — latem. W zimie przebywanie osób oczekujących na autobus na parterze lub w drzwiach do klatki schodowej daje efekt w postaci wymazanych ścian, niedopałków papierosów, wyrwanych przełączników światła i dzwonków, żarówek, a często nawet załatwiania potrzeb fizjologicznych w korytarzach piwnicznych. Sprzątaczki nie ma. Jak możemy, tak sobie radzimy, aby było czysto i w miarę możliwości uzupełniamy braki, gdy Spółdzielnia Mieszkaniowa nie nadąża za zniszczeniami.

Najgorsze są jednak dla mieszców bloku krzykliwe dyskusje, bluźnierstwa, bijatyki, kłótnie kobiet o mężów i nie sprzedany szczaw, toczące się tuż pod oknami.

Poza tym zlokalizowanie tu przystanku stwarza poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa ruchu drogowego. To dziwne, że miejska służba drogowa nie zwróciła na to uwagi. Prawdopodobnie przystanek ten będzie zauważony dopiero wtedy, gdy dojdzie do śmiertelnego wypadku.

Władzom gospodarki komunalnej miasta proponujemy przeniesienie przystanku na własne podwórko. Obok Zakładu Drogowego WPGKiM przy ul. Nadnarwiańskiej jest akurat odpowiednie miejsce na zrobienie bezpiecznej zatoki dla postoju autobusów ZKM. My nie mamy już sił dalej walczyć z niesfornymi pasażerami. Mieszkający tu emeryci i renciści oczekują spokoju i odpoczynku, a dzieci ciszy do odrabiania lekcji. Nasz blok nie może służyć dalej za przystanek autobusowy.

Uważamy, że bezpieczeństwo ruchu drogowego oraz spokój i czystość w mieście to nieocenione dobro nie tylko dla nas, ale także dla gospodarki komunalnej, jako wizytówka rozsądnego myślenia w świadczeniu usług komunalnych.

mieszkańcy bloku nr 22 przy ul. Pięknej w Łomży

☆

Swojego czasu sporo pisano w „Gazecie Współczesnej" i „Kontaktach" o złym zachowywaniu się łomżyńskich taksówkarzy. Nazywano je po prostu „chamskim". Jako taksówkarz chcę opisać incydent, którego byłem mimowolnym uczestnikiem.

W dniu 17 kwietnia br. zostałem wynajęty do przewozu chorego dziecka (po urazie nogi) ze szpitala do miejsca zamieszkania. Podjechałem na podjazd przed wyjściem ze szpitala (o godz. 14.57) i czekałem na wyprowadzenie chorej. W tym momencie ze szpitala wyszła dość liczna grupa na czele z jakąś panią (tlenioną blondynką). Mam wrażenie, że była to pani doktor. Pani ta zaczęła przywoływać kierowcę karetki pogotowia, żeby wjechał na podjazd, mówiąc do towarzyszących jej osób (które zachęcały do dojścia do karetki), że kierowca jest od tego i żadnej łaski nie robi. Do mnie zaś, jako że blokowałem podjazd, pani ta powiedziała: „Wypierzaj pan stąd, co pan tutaj robi!". Bezradny na chamstwo zjechałem z podjazdu.

Rezultat był taki: po z[illegible]wą panią doktor musiała podjechać karetka pogotowia na podjazd przed szpitalem, zaś chore dziecko z urazem nogi musiało dojść do parkingu, gdzie czekałem.

Mam wrażenie, że podjazd przy szpitalu służy do tego, żeby można było podwieźć lub odebrać chorego. Zdrowa służba zdrowia może i powinna dojść do karetki oddalonej nie więcej niż 30 m, jeśli w tym czasie podjazd jest zajęty obojętnie przez jaki samochód, przywożący lub odbierający chorego.

W opisanym przypadku nawoływanie kierowcy do podjechania na podjazd trwało znacznie dłużej niż dojście do karetki.

Taksówkarz
(nazwisko znane redakcji)

polski dylemat-

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

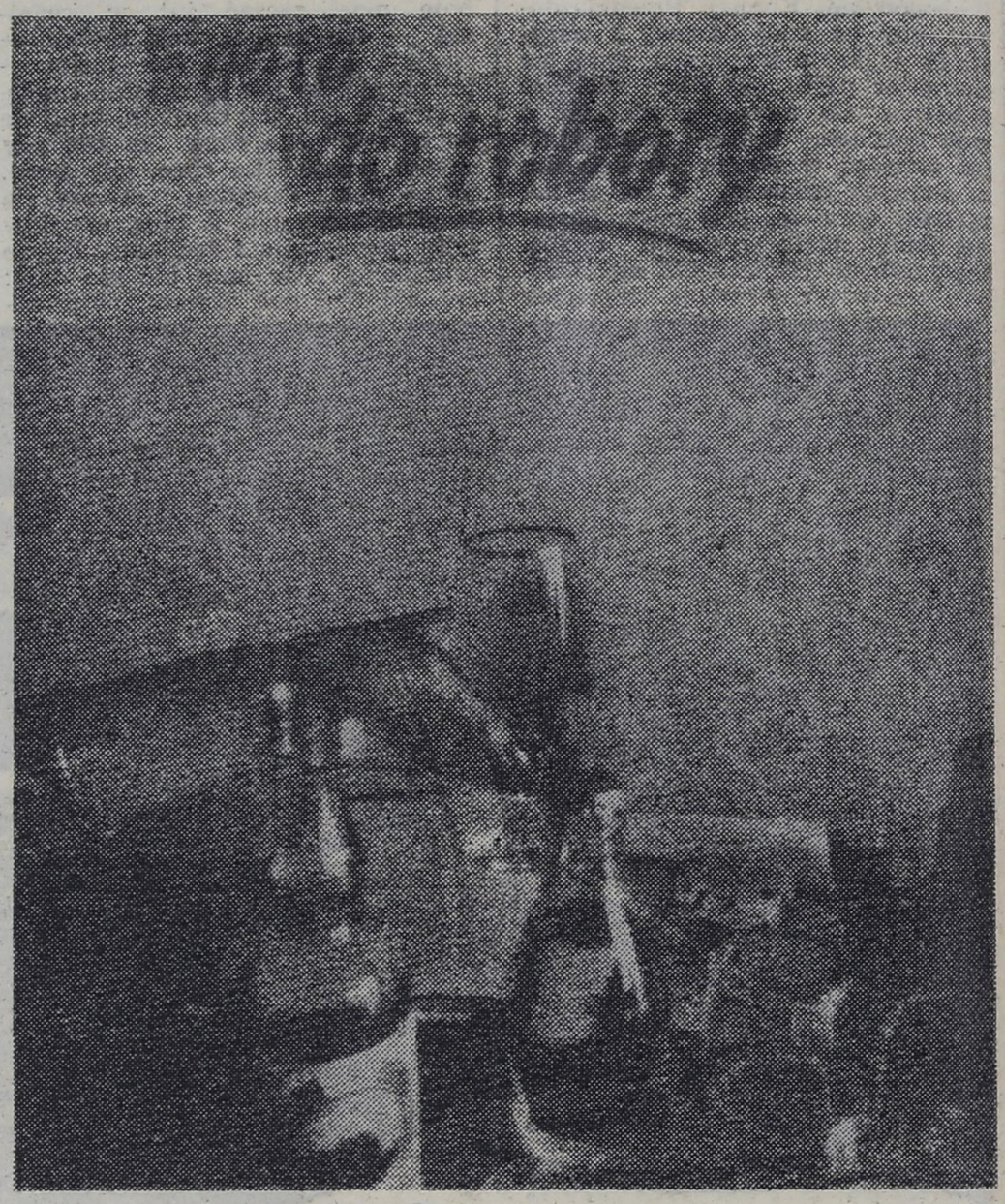
spójnych, płaszczyznach: odrodzenia moralnego narodu (wiary w swe siły, prawdę i sprawiedliwość, wytępienie alkoholizmu, złodziejstwa, malwersacji), zniesienia bizantyjskiego autokratyzmu władzy (czyli rządzenia krajem przez zniewolenie społeczeństwa) na rzecz rządów demokratycznych oraz wypracowania takich struktur ekonomicznych, administracyjnych, gospodarczych, socjalnych, które przepędzając rozrośnięty ponad wszelkie wyobrażenie system biurokratyczny — będą zdolne zaprowadzić ład gospodarczo-społeczny, oparty na naturalnych i sprawdzonych prawach funkcjonowania maszynerii państwa, zaspokajający żywotne potrzeby materialne, kulturalne i duchowe społeczeństwa. Zachowanie równowagi między MIEĆ (produkować, pracować, konsumować, uczciwie się bogacić) a BYĆ (czuć się wolnym, wzbogacać jakościowo życie) jest fundamentalnym warunkiem tego, aby socjalizm przestał być fikcją, a stał się faktycznie ustrojem sprawiedliwości, demokracji, praworządności, sprawdzalnym probierzem życia godziwego. Aby tak się stało, musi być przeprowadzonych wiele zdecydowanych, odważnych przedsięwzięć reformatorskich, zarówno w sferze struktur politycznych, administracyjno-gospodarczych, jak i społecznych. Tu rodzą się dylematy...

chocholi taniec niemocy

Dylemat pierwszy: odrodzenia moralnego i duchowego narodu. Otóż, z chwilą odblokowania prawa społeczeństwa do swoich racji (sierpień 1980 i kolejne miesiące), wywalczenia, drogą negocjacji z władzą, korzystnej dla siebie umowy społecznej, otwarcia dróg do aktywności obywatelskiej — przystąpił naród do ablucji etycznej, przywracania sobie twarzy i godności, do czyszczenia stajni Augiasza, wymuszania przynależnych sobie praw, przygotowywania się do wymiany aparatu władzy na taką, która zapewni społeczeństwu poszanowanie prawa, sprawiedliwości, demokracji.

Proces ten trwa. Nowe w tej materii walczy ze starym. Jest to walka trudna, na szczęście toczy się na płaszczyźnie politycznej, bez przemocy, siły — co denerwuje poniektórych fałszywych przyjaciół polskiej odnowy, wewnątrz i zewnątrz naszego kraju. Stąd sloganowe, bez pokrycia, bez definicji, kalumnie o siłach antysocjalistycznych, kontrrewolucyjnych, rewizjonistycznych. Właśnie przywracanie praworządności, demokracji, władzy reprezentującej społeczeństwo i interesy narodu to — obok odnowy moralnej — drugi dylemat do pilnego rozwiązania. Umowa i negocjacje nie rozwiążą go. Musi się on wykształcić w ostrej walce politycznej. Wsteczne, asekuranckie, konserwatywne siły w aparacie władzy politycznej naszego kraju są znaczne. Opóźniają odnowę, wykonują masę pozorowanych manewrów, czekają na zmęczenie społeczeństwa, wierzą, że jeszcze się im jakoś uda wymanewrować naród i wyjść na swoje. Wiedzą, dlaczego walczą — tracą przecież wszystko. Te siły wspiera kolos biurokratycznej administracji państwowej i gospodarczej.

Dylemat trzeci — wyjścia z kryzysu gospodarczego, który miast ustępować, ciągle się pogłębia. Twierdzę, że za przemyślną sprawą oraz nieudolnością sił wstecznych, które ciągle przy sterze odgrywają dużą rolę, oczywiście — negatywną. Z tych powodów, przede wszystkim ekonomicznych, nie możemy odbić się od dna. I będzie to niemożliwe, dopóki fundament dna będzie stanowiło grząskie bagno monstrualnej polskiej biurokracji, pętającej siecią ograniczeń, przepisów, nakazów, zakazów, wskaźników, limitów, biurek, biureczek, komórek, sektorów, oddziałów, central, zjednoczeń, branż, resortów — obwieszonych mszycą



kierowniczków, kierowników, dyrektorków, dyrektorów i ich zastępców, zastępców zastępców, prezesów i wiceprezesów, sekretarzy, ich zastępców oraz milionem małych, mniejszych i większych urzędników, zżerających własny ogon, a przy tym unicestwiających wszelki naturalny, prawami ekonomicznymi determinowany, proces samoregulacji społeczno-gospodarczej. Bez likwidacji co najmniej o 50 proc. molocha biurokracji niech się nam nawet nie marzy gospodarcza odnowa kraju i ukształtowanie właściwych stosunków na linii władza — społeczeństwo. Pokonanie polskiej biurokracji, dokładniej: jej przerostów kadrowych i instytucjonalnych, teoretycznie nie jest trudne. Praktycznie oznacza zaciętą walkę sił antybiurokratycznych (nade wszystko mas robotniczych i chłopskich oraz różnych służb pomocniczych, jak handlu, komunikacji, zdrowia, środków masowej informacji itp.) z armią biurokracji. Nie ustępuje ona łatwo. Proszę zwrócić uwagę, ile trzeba było czasu i wysiłku, aby coś wreszcie drgnęło w aparacie biurokracji politycznej, a cóż dopiero w państwowej... Tu dalej panują ruchy pozorowane, a jeśli już konkretne, to pod jakąż presją społeczną wymuszane, jakim wysiłkiem i kosztem!

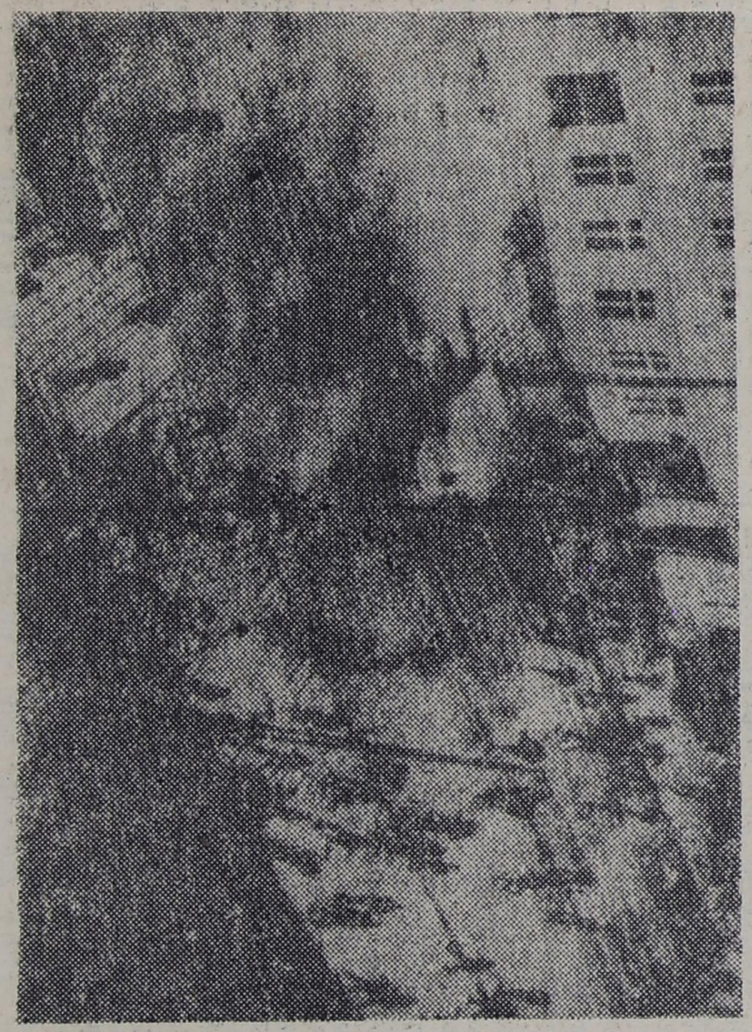
No cóż, nikt bez walki nie oddaje władzy. Tymczasem to, co się od sierpnia 1980 r. dzieje, jest niczym innym, jak przejmowaniem władzy — i słusznie, bo innej alternatywy nie ma — przez pokolenie młode, które nagle (po latach niewiary w swoją jedność, siłę i możliwości) uwierzyło w siebie, w racje, które są racjami całego społeczeństwa, nie zaś rządzącej elity, w większości zmurszałej, zdeprawowanej, niedouczonej i nieudolnej, nazbyt myślącej o własnych, prywatnych interesach. Wymiana nie ustroju, nie socjalistycznego systemu, nie władzy, a jedynie nieudolnego i zestarzałego aparatu rządzącego na aparat młody, prężny zawodowo, a moralnie zdrowy — jest warunkiem *sine qua non* wszelkiej pomyślności w ODNOWIE; stwarza szanse rzeczywistej odbudowy państwa drogą konsolidacji społeczeństwa wokół celów i interesów jemu służących i dosłownego, a nie tylko w państwowotwórczych referatowych mydleniach decydentów — jak to miało miejsce do niedawna — realizowania socjalistycznego, czyli ogólnospołecznego, państwa: praworządnego, obywatelskiego, demokratycznego.

Aby rozwiązać polskie zasadnicze dylematy: odnowy moralnej społeczeństwa przez prawdę, odnowy władzy przez demokrację i odnowy gospodarczej przez naturalne prawa i grę sił ekonomicznych — konieczne są właśnie owe generalne przedsięwzięcia, które streścić można w hasłach: demokratyczna władza — demokratyczne społeczeństwo; koniec biurokracji i monopolu władzy, centralizmu i autokratyzmu; środki produkcji oparte na opłacalności pracy; silny pieniądz; godziwa egzystencja narodu; gwarancje dla jego zdrowia, potrzeb socjalnych i kulturalnych; ratunek dla środowiska naturalnego, ekologicznego, Polski!

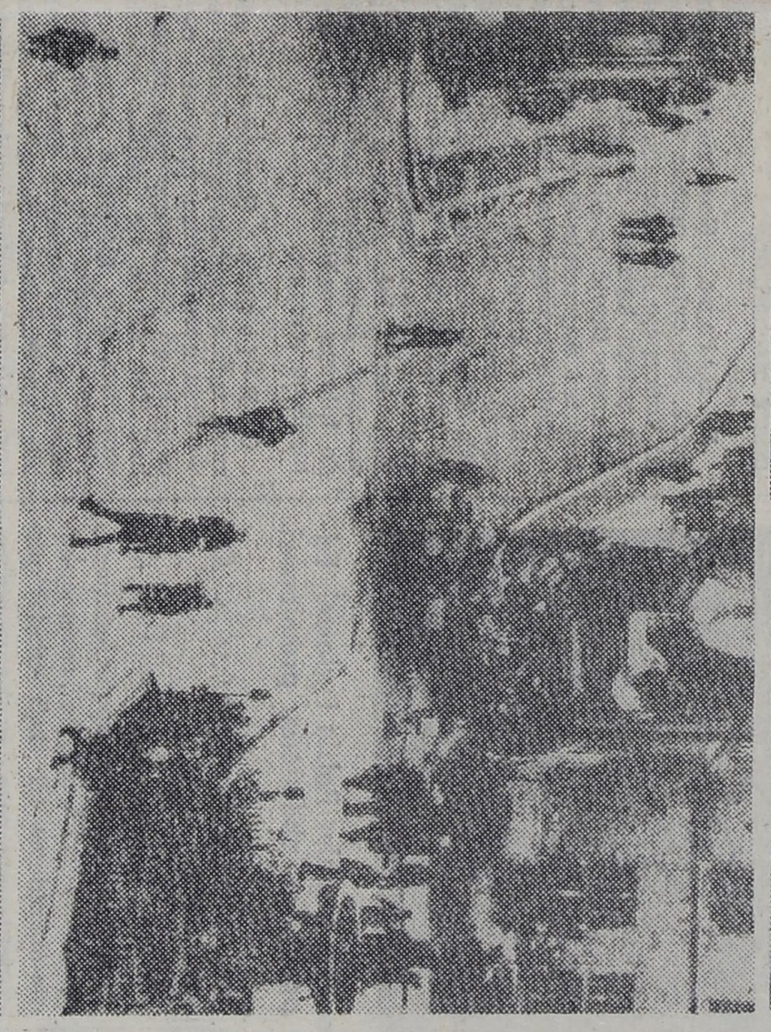
Wspaniałe to cele — wspaniały zryw społeczeństwa ku ich urzeczywistnieniu. Jest o co toczyć bój. Z odwrotu nie ma. Potrzebna jest natomiast konsekwencja czynów, świadomość celów, konkretność koncepcji, programów, przedsięwzięć oraz śmiałość wprowadzania ich w życie. Na razie jest morze słów, propozycji, zbawicielskich rad oraz prób rządowych programów (dalekich od zadawalających) i wymuszane ustępstwa. W procesie odnowy są konieczne przyspieszenie i zdecydowane działania. W przeciwnym razie społeczeństwo utonie w chocholim tańcu niemocy. A wówczas nic już nam nie pomoże. Pozostanie nadzieja, matka głupich, i zwątpienie. Czego oby nie doczekać!

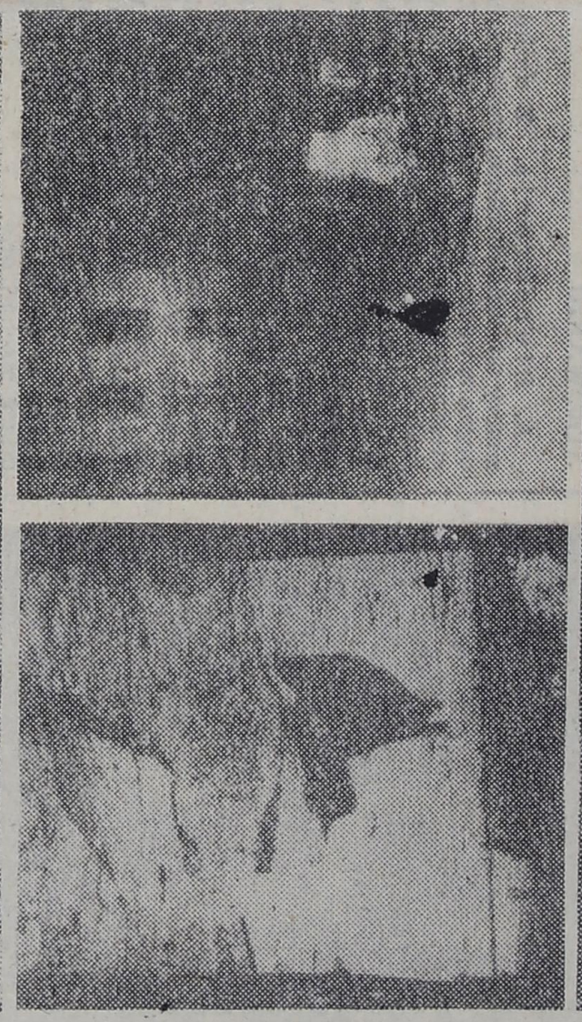
STEFAN MACIEJEWSKI
FOT. GABOR LÖRINCZY

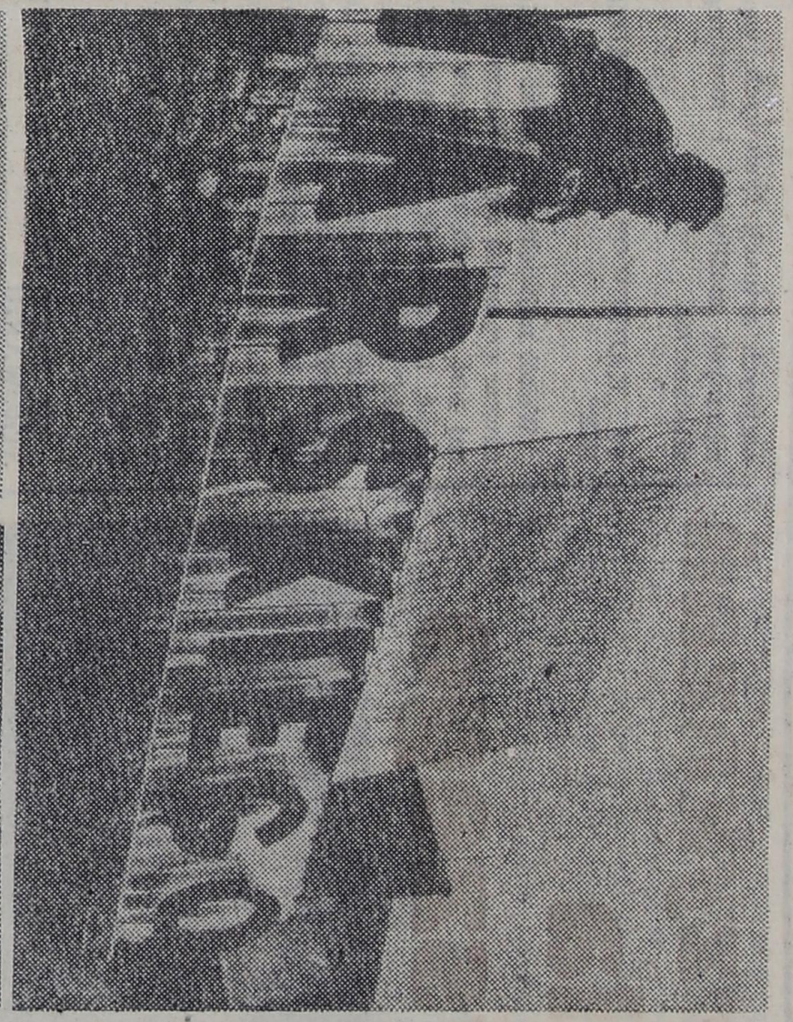
nadzieje i zwątpienia

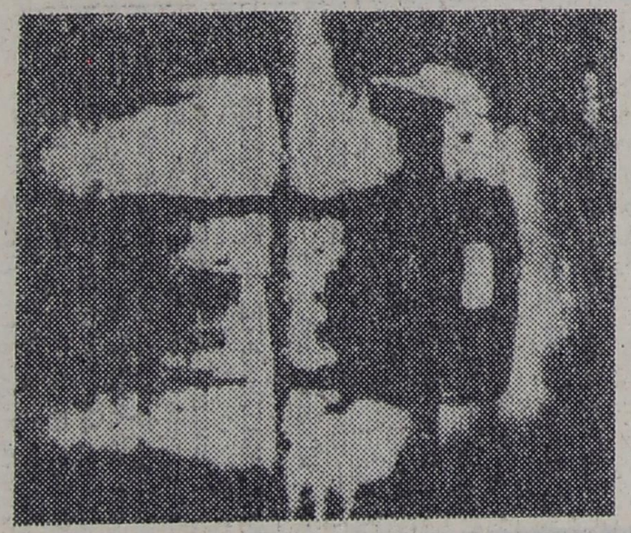


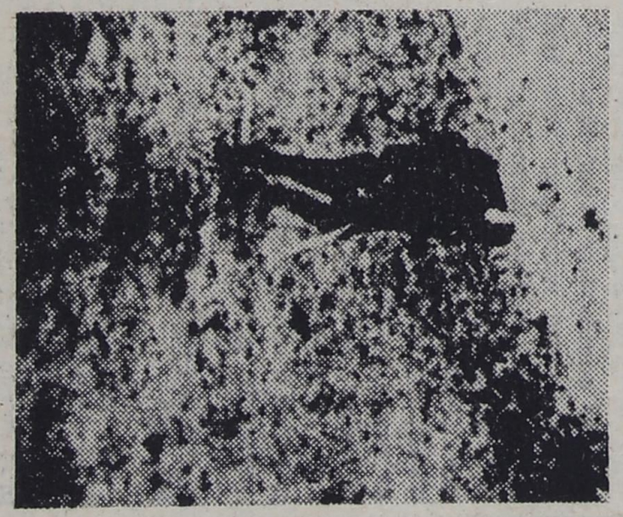






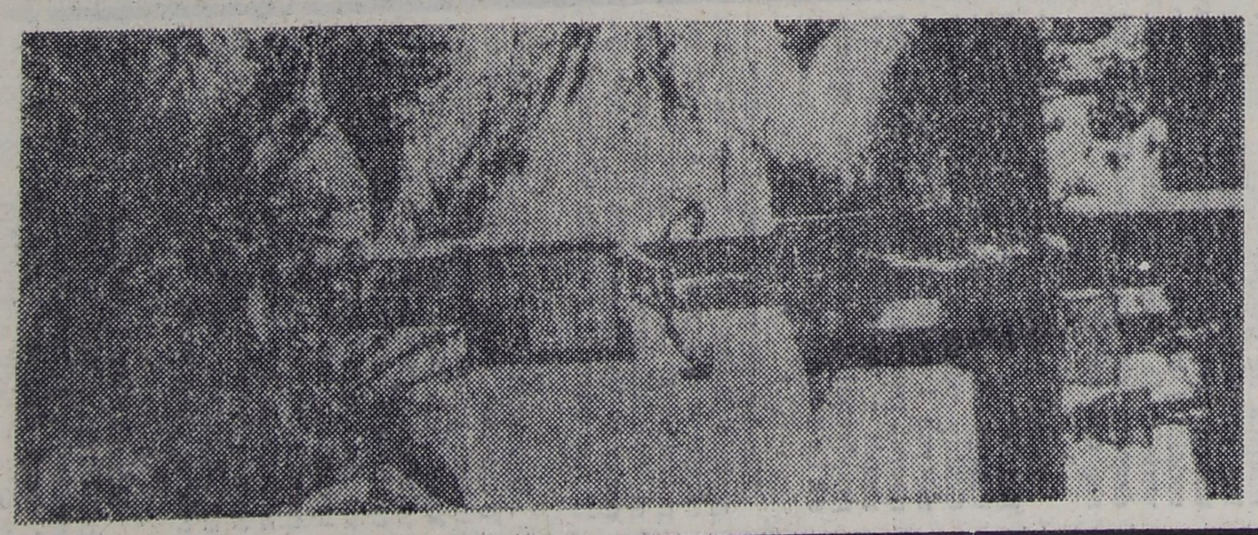












zdjęcia z wystawy w salonie warszawskiego ZPAF-u zreprodukował

Gabor Lörinczy

polskie zakręty - grudzień 1970

spięcia

Jeśli ktoś się dokładnie przyjrzy wejściu do hurtowni WSS-u w Łomży na ul. Nowogrodzkiej 163, to wypatrzy wychodzące stamtąd towary deficytowe. Takie — dajmy na to — proszki do prania wytaczają się grupowo i wsiadają wprost do samochodów osobowych. Oj, leniuchy, a przez sklepy przechodzić nie łaską?

✲

Sport nie jest zdrowy dla wszystkich — do takiego wniosku doszedł widocznie kierownik Szkoły Podstawowej w Giełczynie i nie wpuszcza LZS-owców na przyszkolne boisko. Złośliwi twierdzą, że chodzi tu raczej o zdrowie kierowniczej sałaty.

✲

Sklepowy z Obrytek (gmina Szczuczyn) nie lubi obsługiwać klientów z Łempic, a już szczególnie źle znosi kobiety przynoszące do sklepu jajka. Jego pasją jest natomiast numerowanie pieniędzy; więc zabiera się do tego możliwie szybko, a kiedy wreszcie kończy — ładują się te utrapione kobiety z jajkami i burzą mu porządek dzieła. Kto powiedział, że placówka handlowa musi się parać handlem przez cały dzień? A osobowość ekspedienta, którą uwzględnia program humanizacji pracy, to gips?

✲

Niniejszym informujemy, że cena „dodatkowa" na segmenty meblowe unormowała się już w Łomżyńskiem i wynosi 5000 złotych.

✲

Co się porobiło w tych usługach SKR-owskich? Wszystkie kosztują, choć niektóre są wykonywane. Wystarczy poprosić zaledwie o siewnik, a już po paru dniach przychodzi faktura, z której wynika, że przy siewniku był SKR-owski ciągnik, a w nim — traktorzysta, ten zaś w ciągu bitych 6—8 godzin zmagał się z oporem ziemi, ponieważ bardzo ją chciał posypać wapnem. Rolnik, który przywykł wierzyć faktom, czyli własnym oczom, nie może pojąć, jak mógł traktorzysta tyle czasu strawić na jego polu, skoro sam prowadził własny ciągnik na prywatnym paliwie. Nie tępimy literatury *science fiction*, pod warunkiem jednak, że nie żywi się ona niczyją krzywdą.

✲

W dniu 15 V br. o godz. 19.40 dla kilku panów, którzy wyszli z gmachu Prokuratury w Łomży, zabrakło miejsca na dwumetrowym chodniku, natomiast wystarczyło eteru, dokąd posyłali okrzyki ze słownika rodzimej łaciny. Swoje rozbuchanie wnieśli do „Bony". Ostatecznie nudzącym się tam nastolatkom też się coś należy.

✲

Zespół folklorystyczny „Łomża" bezpłatnie czci oficjalne święta. Co innego gdy chodzi o Święto Ludowe. Gminy płacą za występ 25 tysięcy złotych i organizują transport. Inaczej pewnie by nie zauważyły, że zespół z wojewódzkiego miasta przyjechał dla uświetnienia wiejskiego święta.

✲

Kto by się przejmował drogami w gminie Rutki, skoro trasa E12 jest ciągle w dobrym stanie, a tylko jej potrzebują „turyści" administracyjni, dojeżdżający z Zambrowa do pracy w Urzędzie i GS-ie. Nigdy syty nie odczuje potrzeb głodnego!

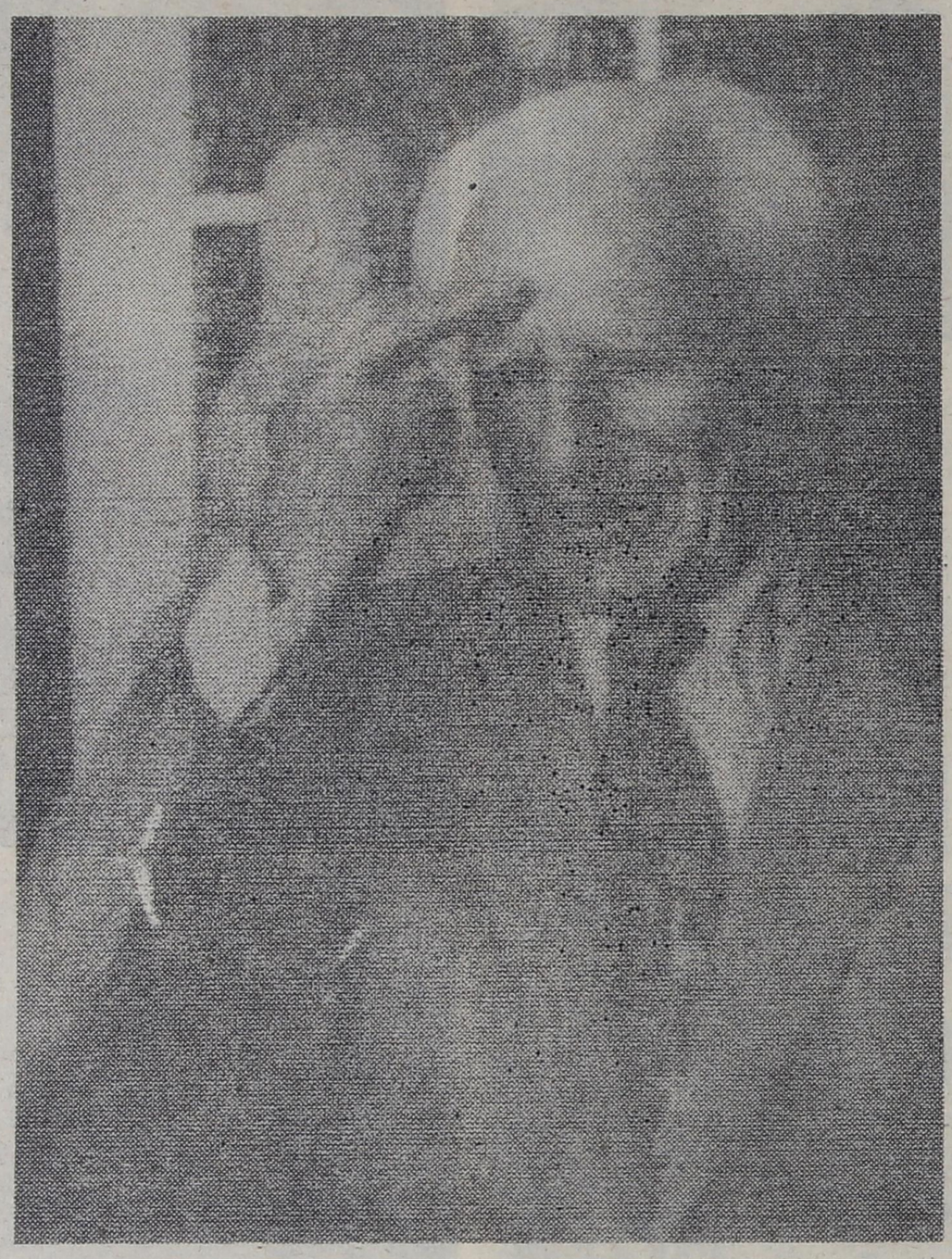
✲

Dyrekcja Kombinatu w Grądach Woniecku sądzi, że jak powiadomi listem poleconym swego pracownika o jego powinności płatniczej za telefon (przegadał całe 6 złotych!), to będzie skuteczniej, niż gdy wyśle do niego którąś z licznych praktykantek lub stażystek. Dotarcie listu gwarantuje kwit na sumę 6,50 złotego, a kto zapewni dyrekcję, że taka stażystka nie zawieruszy się na 200 metrach, jakie dzielą dyrekcję od adresata?

✲

Mieszkańcy Łomży domagają się od Urzędu Wojewódzkiego zwrotu chodnika i zagarniętej części ul. Nowej. Żadne aluzje; chcieliby po prostu z nich normalnie korzystać.

osiem przykazań dla Pierwszego



czyli odpowiedź na pytanie, co pierwszy premier Polski Ludowej, Edward Osóbka-Morawski, chciałby przekazać obecnemu premierowi.

I. PREMIER — PIERWSZY SŁUGA

Premier to pierwszy minister. Minister nad ministrami. Największy administrator. Dobry premier nie może o tym zapomnieć.

Minister to najważniejszy człowiek w najwyższym resortowym urzędzie administracji państwa.

Jest jeszcze ważniejszy sens tych słów. Sens, którego zapomnieć nie można: „minister" w łacińskim znaczy „sługa"; premier, pierwszy minister, znaczy „pierwszy sługa". Sługa swego narodu. Sługa w podległości wobec wspólnego interesu. To znaczy, że często trzeba zapomnieć o sobie, swoich prywatnych sprawach, prywatnym życiu.

II. SIŁA POPARCIA — SIŁA RZĄDU

Siła władzy, siła rządu jest siłą poparcia narodu. Są trzy elementarne warunki, kiedy społeczeństwo poprze swego premiera:

— rząd musi być w przekonaniu społeczeństwa patriotyczny,

— rząd musi być sprawiedliwy, to znaczy, że obywatel musi mieć wiarę, iż każda jego krzywda może być sprawiedliwie rozstrzygnięta.

— rząd nigdy nie może posługiwać się kłamstwem.

III. ZAUFANIE — POPARCIE

Naruszenie jednego choćby tylko elementu narusza zaufanie. Bez zaufania nie ma poparcia. Brak poparcia prowadzi do podziału na rząd, który nie ma kim rządzić i naród, który rządom poddać się nie chce. Każda chwila takiego podziału jest chwilą tragedii państwa.

IV. SŁUSZNOŚĆ I PRACA — ARGUMENT

Żadna władza, żaden rząd nie może nie rozmawiać ze społeczeństwem. Rozmowy „barburkowe", ceremonialno-obrzędowe nie dają władzy nic. Autentyczna rozmowa bywa niekiedy dla władz trudna. Nie można więc rozmawiać nie mając argumentów. Najlepszym argumentem władzy w rozmowie ze społeczeństwem jest głębokie przekonanie o słuszności swego programu i idei. Bez żarliwości przekonania nie przekona się społeczeństwa, gdyż społeczeństwo jest najczulszym barometrem najgłębiej nawet skrywanego fałszu. Żarliwość wewnętrznego przekonania w słuszności swej idei, swego programu, musi się wyrażać pracą. Bez niej każdy program, największa idea, stanie się transparentowym sloganem. Slogan niczego nie urzeczywistnia: „Nic nie jest bardziej pogardy godnego jak wylew słowny patriotyzmu, poza którym nie ma bezdennej prawdy i nieśmiertelnej pracy" (Stefan Żeromski).

V. CHCIEĆ — WIEDZIEĆ

Rząd, premier może wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w kraju. Rząd, premier będzie wiedział o wszystkim, gdy społeczeństwo będzie przekonane, iż rząd, premier wiedzieć chce.

Premier będzie wiedział wszystko, gdy obywatel, któremu podaje dłoń, nie będzie obywatelem „z listy". Również gdy w porę dostrzeże, że to, co słyszy od dopuszczanych przed niego obywateli brzmi jak zacięta płyta, a w krajobrazie elementy potiomkinowskiego sztafarzu, gdy ludzie, którzy pełnią z nim służbę, znani mu będą z najtrudniejszych sytuacji życiowych, wewnętrznych możliwości i moralnego szlachectwa.

VI. „KADZIDŁO" — „ZACZADZENIE"

Wokół największych ludzi władzy zawsze gromadzą się klakierzy. Więcej jest zdolnych niesłusznie pochwalić, niż słusznie przyganić. „Kadzidło" grozi „zaczadzeniem" wszelkiego samokrytycyzmu. Stąd już krok tylko do wiary, iż jest się wielkim. Uświadomienie sobie swej wielkości prowadzi do samozadowolenia. Samozadowolenie — do braku kontroli nad własnymi poczynaniami. Wtedy zaczyna się klęska polityka.

VII. TRZY UWAGI O ADMINISTROWANIU

A. Biurokracja. Z definicji znaczy administrowanie, zarządzanie, organizowanie pracy instytucji. Ze stereotypu skojarzeniowego — opieszałość i obojętność, formalizm i bezruch, niekompetencja i bezduszność. Taka biurokracja jest najgorszym, najpodstępniejszym szkodnikiem w realizacji jakichkolwiek przedsięwzięć rządu. Taka biurokracja niszczy każdy wysiłek twórczy władzy. Szkodnictwo biurokracji wynika przede wszystkim z jej ilościowego przerostu. Walka z nią musi być walką na stałe zaprogramowaną w świadomości rządu. Cechą biurokracji jest bowiem nieustanny, spontaniczny rozwój. Rozwój ten ująć trzeba w ścisłe, precyzyjnie działające mechanizmy.

B. Bilans. Gospodarką rządzi cyfra. Na cyfrze oprzeć trzeba każdą koncepcję jej reformy. W podstawie zatem każdego zamysłu gospodarczego tkwić musi bilans. Bilans jest też najrzetelniejszym raportem o stanie przedsiębiorstwa, resortu, państwa. Literalne wstawki traktować można jako literacki ozdobnik. Sam w sobie nie posiada on nigdy pragmatycznej wartości. Bilans daje nie tylko rozeznanie o stanie gospodarki, lecz także o jej możliwościach. Brak zatem kompleksowego bilansu rozkłada najlepiej pomyślaną reformę.

C. Reforma. Gospodarka nie znosi zmian gwałtownych. Każda rewolucja gospodarcza prowadzi najczęściej do jej okresowego załamania. Tak dzieje się jednak jedynie wówczas, gdy globalnie pomyślana reforma zasadza się tylko na przesłankach teoretycznych. Doskonałym ich sprawdzianem może być zatem tzw. reforma pośrednia (przykładowa):

— wąski odcinek w każdej gałęzi gospodarki powierza się najzdolniejszym administratorom,

— administratorzy otrzymują szerokie uprawnienia, łącznie z możliwością nierespektowania arbitralnie uznanych za niewłaściwe przepisów,

— zwolnieni są z odpowiedzialności za wyniki eksperymentu,

— przedsiębiorstwa (grupy przedsiębiorstw) nie korzystają z żadnych specjalnych przywilejów np. surowcowych, energetycznych itp. (eksperyment przebiega w warunkach „naturalnych"),

— wynik eksperymentu stanowi podstawę do oceny wcześniejszych założeń koncepcyjnych lub wypracowanych w trakcie jego trwania.

— w zależności od wyników oceny podejmuje się decyzje o wprowadzeniu określonych zmian w szerokiej skali.

Pośrednia, przykładowa reforma może być pierwszym etapem na drodze do wielkiej reformy gospodarczej.

VIII. ŻADEN RZĄD NIE JEST TYLE WART na ile w pierwszym etapie sprawowania władzy ocenia go społeczeństwo. Jeżeli zatem rząd nie zdobywa trwałego uznania w społeczeństwie, winne jest nie ono, lecz rząd.

Notował:
WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

alarm dla władz

W Grajewie z inicjatywy Rejonowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność", doszło do spotkania przedstawicieli władz administracyjnych z ludźmi dobrej woli — jak to określono — którym na sercu leży obrona unikalnego środowiska Doliny Biebrzy.

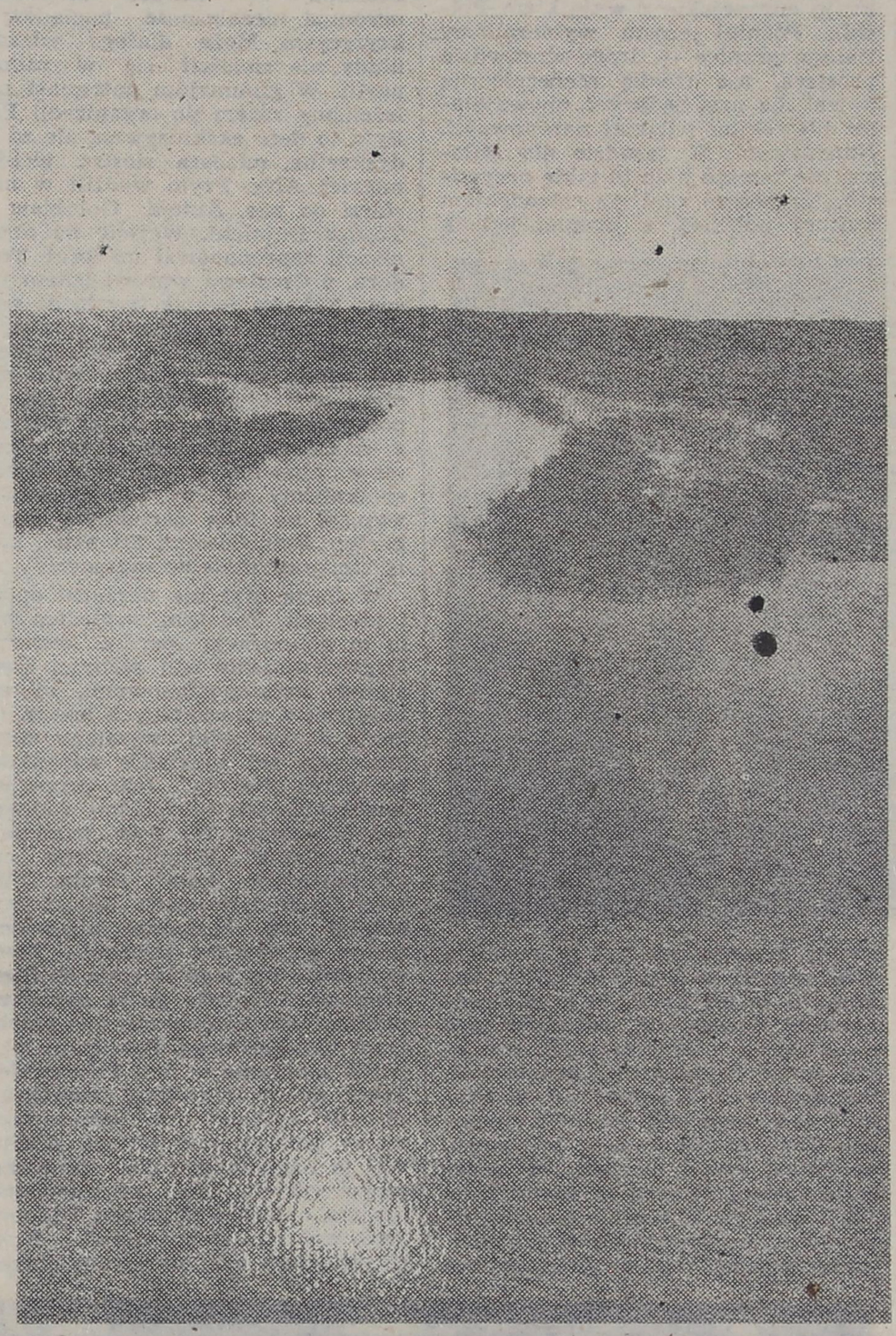
Przypomnijmy, iż „Kontakty" już w marcu br. (nr 19) przystąpiły do publicystycznego natarcia w obronie tego zagrożonego rejonu województwa artykułem D. i A. Wroniszewskich „Oczyszczalnia sumień", a wzmocniły je zakończonym właśnie cyklem reportaży radiowych „Alarm dla Biebrzy". Zwracaliśmy się również bezpośrednio do władz z interwencją listowną — pozostała bez odpowiedzi. Oczyszczalnia ścieków (a ściślej jej brak) przy nowo zbudowanych Zakładach Mleczarskich w Grajewie spędza od pewnego czasu również sen z powiek zatroskanym ekologom. Natomiast mniej — jak się zdaje — niepokoi to decydentów.

— My mamy fakty — powiada wicewojewoda Stanisław Ciupa — zakład zbudowany, załoga w komplecie. Fabryka musi więc ruszyć. Ale strona społeczna posłużyła się mocnym argumentem, popartym w dodatku autorytetem świata nauki, którego liczni reprezentanci zjechali do Grajewa: wartością nadrzędną jest czyste środowisko naturalne. Uruchomienie więc Zakładu Mleczarskiego będzie możliwe dopiero po zażegnaniu ryzyka jego zniszczenia. Choćby dotyczyło to tylko części Doliny Biebrzy, okryje hańbą całą Polskę, bo są to unikalne tereny w skali Europy. Dlatego sprawa ma rangę polityczną i prestiżową.

Od dawna wiadomo było, że zakład bez własnej oczyszczalni nie może ruszyć, a co najmniej od pół roku było pewne, że bez spełnienia tego warunku skompletowana załoga będzie bez pracy. Żadnych decyzji, poza forsowaniem podłączenia do oczyszczalni miejskiej, nie było, choć — zdaniem fachowców — w pół roku można wybudować własną. Sytuacja wymaga podjęcia nadzwyczajnych środków, a nasze władze zachowują się nadal zwyczajnie. Potrzebne są więc apele, odwoływanie się do wyobraźni i sumienia.

Zdumiewa upór władz pragnących za wszelką cenę uruchomienia zakładu bez oczyszczalni. Miejska stałaby się tylko makietą kamuflującą rzeczywisty stopień szkodliwości ścieków. Wybieg z rozwiązaniem tymczasowym pozwoli na bezkarne wyniszczanie życia w Biebrzy. Władze łatwo dały się przekonać nierzetelnym i często — jak wykazała dyskusja — przypadkowym wynikom badań, otwierającym drogę do miejskiej oczyszczalni. Przy czym nie wzięto pod uwagę wielu ważnych parametrów, np. małej sprawności istniejącej oczyszczalni; tego, iż nie wszystkie rodzaje zanieczyszczeń może ona usuwać.

Ukrywanie grożącego niebezpieczeństwa, o którym wiedziało tak naprawdę tylko parę osób bezpośrednio związanych z budową, świadczy o lekceważeniu opinii społecznej. Nikt przecież nie anulował ustawy o ochronie środowiska, według której nie można uruchomić zakładu bez zabezpieczenia otoczenia.



Decyzja forsująca samobójcze rozwiązanie była krokiem desperackim, wynikającym z tego, że ci sami ludzie, którzy doprowadzili do takiej sytuacji, odpowiadają teraz za termin rozruchu zakładu. Może ktoś w końcu zainteresuje się: dlaczego zakład z pełną obsadą stoi, wysnuje także wnioski personalne. Wszak to nie krasnoludki narozrabiały w Grajewie. I chyba głównie ze świadomości tego faktu wynikały decyzje wojewody i naczelnika, podważające uchwałę grajewskich radnych o powstrzymaniu rozruchu fabryki.

Podczas spotkania wynegocjonowano porozumienie, które anuluje te decyzje i zobowiązuje władze do nadzwyczajnego potraktowania budowy przyzakładowej oczyszczalni. Nikt jednak nie zwróci straconych miesięcy, w ciągu których można było już ją sfinalizować.

LECH GIZELBACH
Fot. GABOR LÖRINCZY

P.s. W chwili oddawania materiału do druku dotarło do nas pismo z Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska informujące nie tylko o krokach podjętych przez Ministerstwo, ale i o stanowisku naszych władz wojewódzkich (nadal milczących). Znamienne, że informacje o naszym województwie docierają, może nie najkrótszą, ale najbezpieczniejszą, drogą — przez Warszawę.

pisz pan dalej

Widziałam niedawno, jak łomżyńską drogą na Ostrów Mazowiecką sunęła ciężarówka wypełniona sztucznym nawozem. Jechała szybko, a różowy proszek wzbijał się w górę, po czym osiadał na asfalcie i poboczach drogi. Zastanawiałam się, czyżby jakiś kompetentny czynnik uznał, iż droga do Ostrowi jest tak licha, a proces samorzutnego dziurawienia się następuje tak szybko, że należałoby, patrząc perspektywicznie, zdecydować się już dziś na rekultywację substancji drogowej? Zaraz jednak przyszła następna refleksja, że przecież w dobie odnowy rozliczne ciała społeczne i naukowe dość skutecznie hamują skłonności cudotwórcze w dziedzinie gospodarczo-przemysłowej. Pozostały więc dwa inne rozwiązania, quasi-optymistyczne: albo tak bardzo spieszono się z pomocą rolnikom, że nie zdążono zapakować nawozu w worki, albo też, póki co, nie popieramy jeszcze produkcji worków, w końcu tylko pośrednio związanych z rolnictwem.

Mogłoby się wydawać, że to czysta fantazja, absurdalne rozważania, a jednak życie potwierdza ich realność, i to w licznych wariantach. Przypadek Andrzeja Uljanowickiego z Kolna jest niby nietypowy, ale wiele w nim swojszczyzny. Nietypowość przejawia się głównie w charakterze jego pracy. Jest on jedynym w gminie Kolno, a kto wie, którym w województwie, rzemieślnikiem naprawiającym maszyny rolnicze. Oprócz dobrego, specjalistycznego przygotowania, posiada jeszcze dwie wielkie, rzadkie właściwości: pracowitość i rzetelność. Widocznie nie w pełni mógł wykorzystać swoje cechy w tzw. państwowej robocie, bo zaczął popołudniami wyjeżdżać do okolicznych wsi i remontować wszelkie narzędzia. Wkrótce kupił sobie motocykl, aby dojeżdżać szybciej, w miarę wzrostu „sławy" — do ciągle nowych klientów. Chłopów wprawdzie nie przybywa, ale maszyn tak, i to coraz gorszej jakości. Machnął więc ręką na robotę w TOS-ie i kupił grata, z którego wychuchał furgonetkę pogotowia technicznego.

W epoce wiecznego braku części zamiennych ktoś, kto regeneruje 80 proc. detali, nie jest już zwykłą „złotą rączką", ale ręką opatrzności. Powiadają, że nie ma pojazdu, który ukryłby przed nim jakieś tajemnice. Nawet ze szmelcu coś wykrzesze. Do czego się nie przyłoży, to rusza i się kręci. Naciął się, gdy chciał rozwinąć ten swój interes. Pomyślał sobie kiedyś: jestem rzemieślnikiem, członkiem cechu, roboty mam moc, narzędzi coraz więcej, ale zamiast trzymać je w jakimś zakładzie, trzeba codziennie wnosić po piętrach do mieszkania. Furgonetka z pozostałymi narzędziami stoi pod blokiem lub na podwórku sąsiada. Gdyby tak postawić warsztat, zatrudnić uczniów... Inni też zaczęli go namawiać do kupna działki. Resztki wątpliwości rozwiali znajomi rolnicy: „Tylu nas się buduje. Zawsze coś zostanie — tu trochę cegieł, tam cementu. Załatwiaj tylko papiery, w budowie ci pomożemy".

Ufniejszy w powodzenie przedsięwzięcia i uzbrojony w stosowne podanie zjawił się w maju ubiegłego roku w Urzędzie Miasta i Gminy. Naczelnik przyjął go grzecznie, przeczytał podanie i wyraził głębokie zadowolenie z posiadania takiego specjalisty na swoim terenie. Uljanowicki zaczekał dwa tygodnie, aby jakieś ciało kolegialne ustosunkowało się do jego prośby. Sądząc po nie ukrywanej życzliwości naczelnika — można było się spodziewać, że pozytywna decyzja będzie tylko czystą formalnością. Niestety, okazało się, że podanko gdzieś się zawieruszyło, a pan naczelnik, niemal zdesperowany, rozłożył ręce. Dwa miesiące spełzły na przypuszczeniach, u którego z kolejno urlopowanych urzędników można by je odnaleźć. Gdy sezon urlopowy dobiegł końca, podanie odnalazło się. Wyglądało jednak na to, że dopiero teraz wszyscy zrozumieli jego treść — iż o usługi dla rolnictwa chodzi. Te sześć działek rzemieślniczych, którymi dysponowała gmina, było przeznaczonych wyłącznie dla przemysłu lekkiego, mechanizacja rolnictwa natomiast niewątpliwie do „lekkich" resortów nie należy. Ale pan Andrzej nie powinien się zbyt przejmować, tracić nadziei, bo i na przemysł ciężki będą działeczki, tylko w innym miesiącu.

Uljanowicki nadziei nie stracił, ale przejmować się nie przestał. Zaczął próbować innych podejść, np. od strony Izby Rzemieślniczej. Interwencja nie była skuteczna. Zastukał więc do drzwi sekretarza Skrodzkiego. Ten sprawę uznał za słuszną i ważną, obiecał rzec słówko naczelnikowi Lemańskiemu. Gdy Uljanowicki trzeci raz wypytywał Skrodzkiego o efekt obiecanej rozmowy i niczego nie mógł się dowiedzieć ponad to, że rozmowa się odbyła, zapytał go szczerze, po partyjnemu: „Niech pan powie, da pan radę czy nie?" I wtedy padła szczera odpowiedź: „Pisz pan dalej, staraj się. To panu nie zaszkodzi".

Faktycznie, dalsze pisanie panu Andrzejowi nie zaszkodziło. Ale i nie pomogło. Minął rok oczekiwania, a sprawa przedstawia się jeszcze gorzej niż na początku. Dziwne, bo inicjatywie przyklasnęli wszyscy. Dziedzinę rozwoju usług i rzemiosła (a szczególnie obsługę rolnictwa) uznali za pilną i priorytetową.

Mimo, że powszechnie popierane jest każde tego typu przedsięwzięcie, taka np. gmina kolneńska ma jednego rzemieślnika poszukiwanej specjalności. I nawet temu jednemu nie jest w stanie pomóc. Ciekawe, czy wystarczyłaby interwencja szczebla wojewódzkiego, czy też trzeba będzie się starać o komisję ministerialną dla rozstrzygnięcia tego problemu?

DANUTA WRONISZEWSKA

interwencja

Nie była to wieś nieszczęśliwa. Wszystko zresztą, co układa się ze wspomnień, jest cieplejsze, barwniejsze. Więc i ta właśnie wieś jawi się spokojna, trochę mickiewiczowska, i najwspanialsze, nieskazitelne wydaje się piękno, przeżywającej wraz z nią, przyrody. Z nią, bo wtedy wszystko mogło być tylko naturalne, tylko wynikające z siebie.

Była to wieś prymitywna, uboga. A jednak nie nieszczęśliwa. Szczęście ginie w zetknięciu z niezaspokojonym pożądaniem. Tam żyło się w pewnym porządku rzeczy, który wydawał się wszystkim odwieczny, jedyny, nienaruszalny. Porządek cykliczności pór dnia i roku, konieczności życia i śmierci, współistnienia chałupy i dworku opadającego przepięknymi tarasami w dolinę Niewiaży. Miłosz wychował się właśnie na takiej wsi. Z takiej też wychodził, ubrany w gruby, szorstki samodział; półdziki prowincjusz, ale przecież potomek dobrej, zasłużonej litewsko-jaćwieskiej rodziny Kunatów.

— Aby zrozumieć coś do końca, trzeba wiedzieć, z jakiego pnia wyrasta. Słowo „kresowy", dziś zapomniane, miało przed wojną bardzo wyraźny sens. Nie w aspekcie geograficznym, lecz dla oznaczenia gatunku ludzi, którzy się stamtąd wywodzili. Jako przedstawiciel rodziny Meysztowiczów, osiadłej na Żmudzi, w samym sercu Litwy, doskonale znam tę specyfikę. Miłosz, podobnie jak ja i inni nasi rówieśnicy z tego zakątka kraju, był wychowany w atmosferze przepojonej ideą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wschodnie kresy stanowiły wówczas prawdziwą mozaikę kultur i narodowości. Dominowali Polacy, Litwini i Żydzi, ale znalazło się też sporo Rosjan i Białorusinów oraz trochę, jakże barwnych, osad starowierów, karaimów i muzułmanów. Wszyscy, zasiedziali z dziada pradziada, tolerowali dziwne sąsiedztwa, a nawet tworzyli dość spójną całość. Najważniejszym spoiwem były język, kultura i literatura polska; nawet we wsiach, gdzie przekazywano je ustną tradycją pieśni, kolęd i podań. Chyba dlatego właśnie, urodzony na Litwie, ale wychowany w klimacie polskości, mimo trzydziestu pięciu lat spędzonych poza granicami kraju, pozostał Miłosz wielkim poetą polskim. „Dolina Issy", napisana w Kalifornii po wielu latach nieobecności na ziemi rodzinnej, zachwyca bogactwem opisów przyrody, znajomością nazw roślin, pamięcią szczegółów. Miłosz nie wyszukiwał ich w słownikach, nie szperał po książkach; on to wszystko nosił w sobie i wywiózł w sercu aż do dalekich Stanów. Wywiózł, wśród tylu innych, obraz Wilna, miasta czarującego w swoim bezruchu, uśpieniu, ale jednocześnie głęboko oddychającego romantyczną przeszłością, zamkniętą w pysznych kościołach i bogatych cerkwiach, w zamku Gedymina, urokliwych uliczkach i zaułkach. Groby cmentarza na Rossie, stare mury, przytulne dziedzińce uniwersyteckie, skłaniające do zadumy, a jednocześnie obligujące do podtrzymywania duchowej i naukowej tradycji uniwersytetu, którego ozdobą były przecież słynne nazwiska: Piotra Skargi, braci Śniadeckich, Joachima Lelewela, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Władysława Syrokomli, Ignacego Domejki...

Czesław Miłosz miał je poznać dosyć wcześnie. Już przecież jako jedenastoletni chłopak przemierzał, wraz ze swoim (nieco starszym) kolegą Stanisławem Stommą, swoją drogę do polskiego Wilna: — Podobnie jak Czesław, urodziłem się w kiejdańskim powiecie, zaledwie piętnaście kilometrów od Niewiaży. Zbliżyły nas bardzo te wspólne wojaże i nauka w tym samym gimnazjum Zygmunta Augusta. Do Wilna nie było wprawdzie daleko, zaledwie 130 kilometrów, ale w tym okresie Polska i Litwa nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych. Granice między nimi były zamknięte. Byliśmy więc zmuszeni do podróżowania drogą okrężną przez łotewską Rygę. Pamiętam mój litewski paszport *„pour tous les pays d'Europe excepte'la Pologne"* (na wszystkie kraje europejskie z wyjątkiem Polski). Później często wybieraliśmy zieloną granicę — drogę wprawdzie prostszą, ale trochę niebezpieczną nawet dla nas, będących obywatelami litewskimi polskiej narodowości. Narodowość. W zasadzie dla Miłosza nie zawsze było to takie oczywiste. Na pewno czuł się człowiekiem kultury polskiej, z drugiej jednak strony oczarowany był przeszłością Wielkiego Księstwa Litewskiego, zakochany w tej ziemi. W szkole najbardziej dawały się we znaki jego niezależność i oryginalność myślenia oraz wyjątkowa krnąbrność. Szczególnie boleśnie odczuł to chyba ksiądz katecheta Leopold Chomski. Czesław nie znosił przymusu, natomiast ksiądz uważał, że asceтyzm i rygor dotyczą na równi jego, jak i uczniów. Miłosz nie uznawał np. za stosowne przyjmować za prawdziwe wszystkiego tego, czego uczono nas z historii kościoła. Bardzo często też lekceważył obowiązek chodzenia na niedzielną mszę szkolną. W konsekwencji, o ile dobrze pamiętam, jako jedyny musiał zdawać religię na maturze. Dopiero później, już jako dorosły człowiek, docenił księdza Chomskiego, chyba zrozumiał.



Podobnie trudnym uczniem bywał Miłosz na lekcjach języka polskiego. Wypracowania Czesława odznaczały się nonkonformizmem i bardzo odbiegały od wymagań pani profesor. Miłosz nie tylko nie pisał klasówek „pod nauczyciela", ale chyba robił nawet trochę na złość. Został za to ukarany jedynie dobrą oceną na świadectwie maturalnym.

— Miłosza — wspomina Stanisław Stomma — zawsze cechowała ogromna niezależność poglądów i krytycyzm. Może dlatego właśnie nigdy nie zmieścił się w żadnej partii. W gimnazjum natomiast należeliśmy razem do organizacji Pet. Była to dość ekskluzywna, ale za to dyskretna, młodsza siostra akademickiej Alfy. Prym wodzili w niej starsi od nas, Antoni Gołubiew i Teodor Bujnicki. Wejście do organizacji zaproponował mi brat Teodora, a Czesława wprowadziłem już sam. Zabawa jednak trwała do czasu. Katecheci wywęszyli sprawę i zakazali spotkań. Ja opuszczałem już wtedy mury szkolne, więc dopiero później dowiedziałem się, że podejrzewano nas o jakieś związki z masonerią. Wiadomość ta mocno mnie ubawiła, a Czesław, kiedy spotkaliśmy się w San Francisco, wypisał mi taką żartobliwą dedykację: *„Stanisławowi Stommie, który wciągnął mnie do masonerii"*.

W Pecie nikt nie narzucał opinii i ideologii. Pod tym względem była to organizacja bardzo otwarta. Dyskutowaliśmy nad różnymi kwestiami światopoglądowymi, zaczerpniętymi z przeczytanych lektur. Okazje do szerokiej wymiany myśli stwarzały też spektakle wspaniałego teatru „Reduta". Jako grupa intelektualna nie opuściliśmy żadnego przedstawienia. Do dziś pamiętam „Wyzwolenie" Wyspiańskiego czy „Zaczarowane koło" Rydla. We wszystkich dyskusjach Miłosz wyróżniał się bezkompromisowością wobec schematów myślenia. Wielu szokowała np. jego awersja do Sienkiewicza. Złościła go ta narodowa politura, nieskomplikowany patriotyzm Skrzetuskiego. Pamiętam takie jedno spotkanie w Sali Śniadeckich. Jakiś młody narodowy demokrata chwalił właśnie sienkiewiczowskie wzory patriotyzmu. Miłosz skwitował to nagłym, gromkim, prowokującym rykiem, który prawdopodobnie miał naśladować śmiech. Podobnie reagował na „Quo vadis". Bawił go kiczowaty, niedorysowany chrześcijanizm. Na nieszczęście to, co go denerwowało, przeszkadzało nieco w docenieniu innych, niewątpliwych wartości sienkiewiczowskiej prozy.

Jego namiętnością literacką była natomiast „Czarodziejska góra" Tomasza Manna. Podzielałem ją zresztą w pełni. Nie mogłem za to przyłączyć się do jego zachwytów nad poezją Rilkego. W ogóle jej nie rozumiałem.

Wyraźne ciągoty literackie Miłosza spowodowały, że zaczął studiować polonistykę. Gramatyki porównawcze, przecinkarstwo i... ten babiniec! Na dłuższą metę nie można było tego wytrzymać. Bardzo szybko przeniósł się więc na prawo.

Zdaniem Jerzego Zagórskiego — *„ówczesne studia prawnicze przyciągały znaczną swobodą systemu egzaminów i seminariów, przede wszystkim jednak stanowiły znakomitą szkołę myśli. I to nie tylko dlatego, że wykładano tam prawdziwą ekonomię i prawdziwą skarbowość. W przeciwieństwie do polonistyki uczyły np., że marksizm to tylko metoda, pewna faza krytyki ekonomii, a nie księga, rzeczywistość, zmaterializowanie humanistycznych wartości. Studia prawnicze pozwalały wiele rzeczy zrozumieć, polonistyka, jeżeli już, to bardzo intuicyjnie"*.



Poznaliśmy się jesienią trzydziestego trzeciego roku — wspomina Zygmunt Kuczyński. — Mieszkałem wówczas w domu akademickim na Górze Bufałowej, w pokoju 405 na czwartym piętrze. Większość pokoi była dwuosobowa, więc dokwaterowano mi jakiegoś studenta prawa, Czesława Miłosza. Słyszałem o nim tylko tyle, że jest zupełnie niezłym poetą. Nie zauważyłem, żeby angażował się w jakieś wystąpienia polityczne. Jego pozycja była raczej *splendid isolation*; rzadko kto go odwiedzał, przeważnie pracował, uczył się, dużo pisał. Zapytałem go kiedyś, czy pisanie przychodzi mu łatwo. Zamiast odpowiedzi pokazał mi dość wąskie pasmo papieru z mnóstwem skreśleń i poprawek. Muszę się w tym momencie przyznać do małej nielojalności wobec niego. Wiedziałem, jak cenne są manuskrypty poetów i pisarzy, i dlatego buntowałem się, ilekroć wrzucał je do kosza. Zacząłem więc podkradać je i chować. Gdy miałem już dość pokaźny rulon, wywoziłem do domu rodzinnego. Niestety, wszystko spaliłem we wrześniu 1939. Nie chciałem, opuszczając dom, pozostawić w nim czegoś, co mogło w jakiś sposób przysporzyć rodzinie kłopotów. Mam nadzieję, że Miłosz mi to wybaczy.

Żyliśmy wtedy w okresie wielkiego rozpolitykowania młodzieży. Chociażby sławna walka o autonomię wyższych uczelni. Do tej pory organizacje akademickie zależne były wyłącznie od rektora. Nie miał na nie żadnego wpływu ani starosta, ani władze polityczne; policja nie mogła wejść na teren akademicki nawet w przypadku, gdyby studenci okładali się kijami. Pierwszym krokiem ministra Oświaty, Jędrzejewicza, łamiącym tę autonomię, było uznanie prawa policji do interwencji. Zaprotestowała przeciwko temu olbrzymia większość profesorów i studentów. Również i my, mieszkańcy domu akademickiego, postanowiliśmy zademonstrować swoją postawę. Na kiju od anteny umieściliśmy kukłę, wykonaną z koszuli i kalesonów wypchanych papierem. Głowę stanowiła główka kapusty, w lewej ręce trzymała, wycięty z tektury, paragraf, a w prawej — bat. Nie pamiętam, czy koszula była Miłosza, a moje gatki, czy odwrotnie. Mało ważne. Aluzja była wyraźna. Wszy-



osobowość

scy wiedzieli, że kukła przedstawia ministra Janusza Jędrzejewicza. Szybko zawiadomiliśmy redakcję „Dziennika Wileńskiego", który nazajutrz zamieścił notatkę o wysoko postawionej i zawieszonej osobistości. Przez szereg dni przechodnie mijali dom z zadartymi głowami, cieszyli się bardzo uczniowie dwóch gimnazjów, mieszczących się po drugiej stronie ulicy. Którejś nocy jednak portier zdjął kukłę pod pertekstem, że wisiała na jego kiju od anteny radiowej. Nasza zemsta była sroga. Co pewien czas z pięter między schodami klatki schodowej spadały na parter petardki, których wybuchy doprowadzały go do rozstroju nerwowego. Kanonada zakończyła się wówczas, kiedy na piśmie, na tablicy ogłoszeń, przeprosił wszystkich studentów. Z chwilą, gdy utraciliśmy kukłę, postanowiliśmy z Miłoszem umieścić na domu transparent z napisem *„Niech żyje autonomia"*. Zrobiliśmy go z kilkunastu arkuszy tektury przymocowanych do liny, którą z dachu spuściliśmy na wysokość naszego piętra, a następnie przymocowaliśmy do okien. Niestety, prąd ciepłego powietrza z wywietrzników uniósł transparent daleko od ściany i długo jeszcze musieliśmy pracować, zanim zaczął wyglądać przyzwoicie. Nazajutrz pozostał po nim jeno sznur, a płaty tektury z literami uleciały z wiatrem. Ha, trudno. Postanowiliśmy wykonać go z płótna. Miłosz zbierał pieniądze wśród lewicy, ja wśród prawicy. Kupiliśmy wszystko, co potrzeba, i jeszcze tego samego dnia transparent był gotów. W nocy, koło godziny drugiej, zbudził mnie Miłosz i pokazuje dyndający za oknem drut. Wszystko wskazywało na to, że ktoś z pralni, która mieściła się nad nami, usiłował zaczepić go o transparent. „Alarm". Kilku kolegów natychmiast pobiegło na górę. Zastali tam pewnego studenta, siedzącego na parapecie. Nikt go nie bił; sam koziołkując przez sześć pięter po schodach, wylądował za drzwiami na ulicy. Nie wrócił już nigdy do domu akademickiego, a i na uniwersytecie jakoś go nie widziano. Prawdopodobnie był szpiclem i przeniesiono go na inny teren. Przewidywaliśmy, że podobna próba może się powtórzyć, więc wyznaczyliśmy straże. Rzeczywiście, po pewnym czasie pod dom zajechał samochód strażacki. Na dachu sali gimnastycznej ustawiono długą drabinę, po której zaczął się wspinać strażak z bosakiem w ręce. Wówczas na wszystkich piętrach otworzyły się drzwi balkonowe i z hydrantów poleciały w dół strugi wody. Strażacy zrejterowali, a studenci skwitowali to rykiem tryumfu. Potem były telefony od różnych władz proponujące nam, żebyśmy zdjęli transparent lub przynajmniej nie przeszkadzali w tym innym. Na zwołanym *ad hoc* o godzinie szóstej rano, wiecu mieszkańców zapadła decyzja: *„Do krwi ostatniej kropli z żył bronić będziemy transparentu"*. Telefonicznie przekazaliśmy ją rektorowi i staroście. Transparent wisiał parę miesięcy. Zdjąłem go dopiero przed wyjazdem na ferie wielkanocne. W międzyczasie Miłosz projektował wystawienie na tarasie sali gimnastycznej „Misterium na zgon autonomii". Ułożył nawet panichidę, którą, przeobleczeni w prześcieradła, mieliśmy śpiewać nad leżącą na katafalku autonomią. Zapamiętałem dwie zwrotki:

„Leży już nieżywa
Nie chce nawet piwa
Autonomia
Zabrał ją minister
Bo miał taki system
Kakofonia."

Do imprezy jednak nie doszło. Nie było nikogo, kto by ją opracował.

Rząd dusz na naszym uniwersytecie, jak zresztą i na innych, sprawowali narodowcy, mający przeciw sobie opozycję składającą się z wielu nielicznych grup różnych maści: poczynając od czarnej międzynarodówki katolickiej z „Mazarinim" Stanisławem Stommą, przez zielonych ludowców, aż po krwawoczerwonych komunistów z „Robespierrem" Jędrychowskim, późniejszym ministrem PRL-u na czele. O Miłoszu wiadomo było, że należał do Akademickiego Klubu Włóczęgów, organizacji bardzo zróżnicowanej politycznie, z przewagą jednak lewicy. Z korporacji studenckiej klub ten wziął wiele cech zewnętrznych i organizacyjnych, choć jego członkowie stanowczo temu zaprzeczali. Sam Miłosz pisał o nim po wojnie w „Rodzinnej Europie": *„Jedną z racji bytu tego stowarzyszenia i głównym powodem do dumy była pogarda dla snobów, pijaków i osłów z rapierami zrzeszonych w »korporacje«"*. Brzmi to o tyle dziwnie, że przecież członkami korporacji byli Ignacy Mościcki, Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Bolesław Limanowski, Ignacy Paderewski i wielu innych, nie wyłączając ojca Miłosza, który należał do Welecji. Korporacje zrzeszały młodzież akademicką różnych narodowości, z wyjątkiem Niemców, i różnych kierunków politycznych, prócz lewicy. Było ich w Polsce przeszło 150, oraz kilka polskich za granicą: w Paryżu, Kownie, Rydze, Pradze, Bratysławie. Każda zawiązywała się na zasadach czysto towarzyskich. Np. Klub „Leonardo da Vinci". Zorganizował go jeden z profesorów. Powszechnie cieszył się on opinią klubu pederastów. Być może wynikało to z faktu, iż jego członkowie rekrutowali się spośród najbardziej przystojnych i eleganckich studentów.



Wśród tej wielości klubów i korporacji, Akademicki Klub Włóczęgów był chyba najbardziej znany i specyficznie wileński. Łączył turystykę krajoznawczą i sporty z aktywnością intelektualną. Nawet największy z włóczykijów (a jednocześnie najdłuższy, stąd przezwisko „Kilometr"), Wacław Korabiewicz, bardzo cenił dyskusje literackie członków klubu: — Ponieważ jestem starszy od Czesława Miłosza, byliśmy razem w klubie tylko półtora roku. Trudno skojarzyć mi, w których imprezach brał on udział. Był wtedy jeszcze żółtodziobem, bardzo nieśmiałym, o dziecinnie pulchnych policzkach. Dlatego obdarzyliśmy go pseudonimem „Jajo". Sądzę, że pamięta on (był gimnazjalistą lub świeżo upieczonym studentem) nasze wielkie widowisko ludowe „Zabijanie bazyliszka" na baszcie. Całe miasto brało w tym udział, nawet wojsko. Bardzo utkwiły mi w pamięci nasze odwiedziny u Miłosza w Suwałkach, gdzie mieszkali wtedy jego rodzice. Organizowaliśmy wyjazdy z występami na prowincję. Kiedy znaleźliśmy się w Suwałkach, postanowiliśmy odwiedzić Czesława, który chorował wtedy na grypę. Wstał z łóżka, na piżamę wciągnął kożuch i częstował nas wyśmienitą nalewką. Nie oszczędzał jej, a że nadzwyczajnie nam smakowała, wizyta się nieco przedłużyła. Byliśmy zalani w pestkę, kiedy doszliśmy do wniosku, że jednak trzeba jechać, bo następnego dnia czekają nas występy w Białymstoku. Okazało się potem, że Kazik Hałaburda zostawił u Miłosza teczkę z materiałami i trzeba było wszystko odtwarzać z pamięci. A z kondycją tego dnia nie było najlepiej.

Ta aktywność zewnętrzna — wycieczki, imprezy, występy, uroczystości, na których występowali w czarnych beretach z czerwonym chwastem i z olbrzymim kijem pielgrzymim, swoim symbolem — była jednak mniej ważna od ich wewnętrznej nauki obywatelskiego życia i przygotowań do zajmowania w przyszłości odpowiedzialnych stanowisk. Generalnie tonacja ideologiczna organizacji oscylowała wokół umiarkowanie lewicowej z sentymentem dla Piłsudskiego, antynacjonalizmem i regionalnym wileńskim kolorytem. Jej członkowie kpili z pewnych ustalonych konwenansów, lekceważyli np. towarzyski kodeks Boziewicza, odrzucając całkowicie honorowe pojedynki. Na to, żeby ogłosić publicznie, że nie ma się zwyczaju przyjmowania takich wyzwań, trzeba było w tym czasie cywilnej odwagi. Powodowało to też poważne komplikacje, ponieważ w przypadku obrażenia czy spoliczkowania nie wiadomo było, jak się zachować.

Trudno powiedzieć, żeby Klub Włóczęgów był dla Miłosza wszystkim. Prawdopodobnie większą wartość przedstawiały dla niego spotkania w Klubie Intelektualistów czy środy literackie. Tam właśnie odkrył go dla późniejszych „Zagarów" Stanisław Cat-Mackiewicz.

Jego i kilku innych. Także Jerzego Zagórskiego: — Cat zaproponował nam całkowitą autonomię pisma. Miało być trzech do decydowania o układzie materiału: dwóch z zespołu i on, z decydującym głosem w razie, gdyby przedstawiciele zespołu różnili się między sobą zdaniem. Pozycja „Zagarów" była dosyć dziwna. Zorganizowane przy wileńskim „Słowie", piśmie konserwatystów, prezentowało publikacje, które w krótkim czasie zrobiły ich autorom opinie komunistów. Cat krzywił się trochę na Jędrychowskiego, który ze swoją krytyką ówczesnej rzeczywistości zdawał się sterować ku kontestacji. Najwięcej szumu zrobiły jednak dwa ostatnie artykuły Dembińskiego, w których proponował m.in. co prawda jeszcze nie wydziedziczenie, ale wywłaszczenie ziemian z prawa ściśle własnościowego na posiadanie feudalne w stosunku do państwa. Tzn., że państwo miałoby decydować o tym, czy kwalifikacje właścicieli odpowiadają rzeczywistym potrzebom zarządzanych przez nich majątków. Dembiński wprawdzie nie kierował się racjami klasowymi, tylko ekonomicznymi, w Nieświeżu jednak odczytane to zostało jednoznacznie jako naruszenie świętego prawa własności. Zrobiła się wielka awantura. „Zagarami" potrząsano w Sejmie. Dembiński stał się płachtą na byka dla finansujących Mackiewicza „żubrów". W rezultacie Cat postawił warunek, żebyśmy przestali drukować Jędrychowskiego i Dembińskiego. W tej sytuacji pismo „Żagary" przestało istnieć.

Miłosz miał bardzo poważny stosunek do poezji. Znacznie poważniejszy niż np. Gałczyński czy Bujnicki. Tamtych, a w pewnym sensie i mnie, interesowało przede wszystkim, co by tu zrobić, żeby egzystować z literatury. Dosyć symptomatyczne było następujące zdarzenie. Gałczyński, jak zwykle cierpiący na niedostatek pieniędzy, udał się do rozgłośni po zadatek na wiersz. Zadatek szybko przepił i najchętniej zapomniałby o obligacji. W rozgłośni pilnowano go jednak dość skrupulatnie i w końcu zmuszono. Wiersz powstał. Gałczyński przepisał go ładnie, przewiązał wstążeczką i zaniósł do rozgłośni, gdzie wręczył dyrektorowi, pytając bez ogródek: „Ile będzie w kasie?" Na wymienioną kwotę zareagował gwałtownie: „Co? Za wiersz?" Wytargował podwójną stawkę.

Miłosz w takie rzeczy się nie bawił.

Szczodrym dla artysty dyrektorem był Witold Hulewicz, tolerancyjny humanista, ciekawy każdego nowego zjawiska i mający ambicje uczynienia Wilna ośrodkiem kultury. To on, dowiedziawszy się o kłopotach teatru „Reduta", nalegał na Osterwę, aby wybrał Wilno na miejsce manifestacyjnego exodusu. I rzeczywiście „Reduta" przeniosła się do Wilna na kilka lat. Jeden z młodych aktorów tej sceny, Tadeusz Byrski wkrótce wrócił ponownie do Wilna, przyciągnięty propozycją Hulewicza podjęcia pracy w rozgłośni.

— Byłem akurat bez *engagement*, a Wilno wywarło na mnie silne wrażenie. Moja praca w radiu szybko przeszła ze zwykłego aktorstwa na ścisłą współpracę z Hulewiczem. Nie czekałem długo na awans kierowniczy. Natychmiast po przyjeździe zaprzyjaźniłem się z Antonim Bohdziewiczem, spikerem, który znał wszystkich interesujących ludzi w mieście i ciągle mi kogoś przedstawiał. Zawierałem więc znajomości w piorunującym tempie. Któregoś dnia oświadczył mi: „Musi się pan poznać z takim moim przyjacielem, który jest niesłychanie *brusque*, często bywa niesympatyczny i, słowo daję, potrafi nawet splunąć na podłogę. Ale jest to bardzo dobry poeta". Tak przedstawiono mi Czesława Miłosza. Muszę jednak stwierdzić, że nigdy, przynajmniej w mojej obecności, nie napluł nikomu na buty. Nawiązaliśmy natomiast współpracę, która układała się całkiem sympatycznie, chociaż Miłosz nie był zbyt płodnym współpracownikiem.

Nasza rozgłośnia była jedyną w kraju, która wiernie przedstawiała polską poezję współczesną. Nie licząc się zbytnio z opinią publiczną, co tydzień prezentowaliśmy debiuty, które dawały obraz tego, co się w tej dziedzinie dokonuje w Polsce. Hulewicz zezwalał na realizację różnych pomysłów, ale trafiał na pewne opory w prasie, a szczególnie w „Słowie" Cata-Mackiewicza. Konflikt narastał bardzo szybko. W „Słowie" prawie codziennie ukazywało się za lub przeciw Hulewiczowi. Wreszcie jedna z karykatur Feliksa Dangla wyczerpała cierpliwość naszego szefa. Spotkawszy karykaturzystę w cukierni uderzył go pejczem, a następnie własnoręcznie sporządził notatkę o tym zajściu, zaznaczając, że rozumie, iż Dangl jest tylko mieczem w wiadomej ręce. Obrażony Mackiewicz wyzwał Hulewicza na pojedynek na ciężkie szable ułańskie. Hulewicz został raniony, a Warszawa, uznając pewną niestosowność tego typu incydentów, powołała go do siebie na dyrektora literackiego. Ja, prawie automatycznie, awansowałem na jego miejsce, moje natomiast zawakowało. Ponieważ Czesław Miłosz wrócił akurat ze stypendium w Paryżu, zaproponowałem mu ten etat. Z wielkim trudem udało mi się go namówić. Wspominając w „Rodzinnej Europie" pracę sekretarza programowego w naszej rozgłośni stwierdził bez entuzjazmu, że przekładał tylko papierki nie wiadomo po co. W czasie jego urzędowania przebywał w Wilnie także Gałczyński. Zamówiliśmy u niego konferansjerkę do pierwszego „Podwieczorku przy mikrofonie", bo zależało nam na czymś wyjątkowym. Zgodził się i nawet zażądał sto złotych *a conto*. Minął tydzień, drugi, materiału ani śladu. Ponieważ

CIĄG DALSZY NA STR. 10

OSOBOWOŚĆ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8—9

takim go pamiętają

nie miał telefonu, poprosiłem Miłosza, żeby poszedł do Gałczyńskiego i zorientował się, co się dzieje. Następnego dnia Czesław relacjonował mi: „Byłem u Gałczyńskiego. Leży spokojnie na sofie i powiada, że nic nie napisze. A na dodatek zapytał, co mnie to wszystko obchodzi, że Byrski się martwi. Niech się martwi". Moment później, w chwili, gdy akurat miałem rozmowę telefoniczną, zjawił się w redakcji Gałczyński. Podał mi list i natychmiast oddalił się, nie dając szansy na odezwanie się choćby słowem. List był krótki: *„Szanowny Panie, konferansjerki zamówionej przez Pana napisać nie mogę, ponieważ leżę obłożnie chory, co wczoraj mógł osobiście stwierdzić wysłany przez Pana urzędnik Miłosz. Z poważaniem. Konstanty Ildefons Gałczyński"*. Przez kilkanaście następnych dni wszyscy tytułowali Czesława „urzędnik Miłosz". Później jednak coraz rzadziej było nam do śmiechu. Rozpoczął się proces jedenastu komunistów z „Karty" i „Poprostu" (większość to członkowie dawnych „Żagarów"). Sytuacja w Wilnie stawała się coraz bardziej napięta, nasilały się akcenty nacjonalistyczne. Kroplą, która przepełniła kielich, okazała się audycja chóru białoruskiego z konferansjerką Miłosza. W tym samym czasie w „Małym Dzienniku" ojca Kolbego ukazał się artykuł „Komuniści opanowali rozgłośnię wileńską". Ci z „Małego Dziennika" wykryli też, o czym ja sam nie wiedziałem, że nauczyciel z Oszmiany, który przysyłał nam pogadanki folklorystyczno-obyczajowe, jest Żydem. A opowiadania Żyda o chrześcijańskich obyczajach zaduszkowych uznano za nieprzyzwoite i niewskazane. Było to już po śmierci Marszałka Piłsudskiego, na początku roku 1937, kiedy rządy pułkowników umacniały się. Dlatego też te incydenty były wystarczającym pretekstem dla wojewody Bocianowskiego, aby zażądać usunięcia nas z rozgłośni. Redakcja Naczelna Polskiego Radia zaproponowała Miłoszowi pracę w komórce koncepcyjnej, a mnie — stanowisko naczelnego reżysera

W Wilnie Miłosz przylgnął jakoś do nas i bardzo polubił córkę Agnieszkę. Odwiedzał często naszą willę przy ulicy Witoldowej. Po kolacji czytał czasem swoje wiersze, ale przeważnie prowadziliśmy długie dyskusje i montowaliśmy prognozy polityczne, społeczne, ideowe. Przyjaźń przetrwała również „okres warszawski". Razem przeżyliśmy wybuch wojny. Tyle tylko, że ja zostałem z rodziną w Warszawie, Czesław natomiast zgłosił się na punkt zborny Polskiego Radia na placu Dąbrowskiego, skąd autokary ruszyły do Lublina.

Wspomina Jerzy Zagórski: — Miłosz doszedł za falą emigracji do Bukaresztu. Stamtąd, przez Związek Radziecki, wrócił na Litwę do majątku matki na kowieńszczyźnie, a stamtąd (przecież było to jak przez miedzę) do Wilna. Wkrótce potem do miasta weszli bolszewicy. W tym czasie nawiązał Miłosz współpracę z kabaretem „Ksantypa" i wtedy też chyba zaproponował lub też może przystał na koncepcję utworzenia teatru eksperymentalnego. Szczęśliwym czy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności — dysponentką kultury w mieście była od niedawna jego koleżanka uniwersytecka. Poszli więc do niej licząc na poparcie. „A czy wy nie jesteście czasami dekadenci?" — zapytała. Tamci odeszli z nosami na kwintę, a Miłoszowi wystarczyło to, żeby już o świcie czmychnąć z Wilna przez zieloną granicę do Guberni. Zameldował się w Warszawie. Osłonę dawał mu jego litewski paszport. Ja i Andrzejewski strzegliśmy się inaczej. Umieściliśmy się na końcu Bielan, na samej granicy miasta, niedaleko lotniska niemieckiego. Znając awersję lotników do gestapo mieliśmy prawo przypuszczać, że ci ostatni nie będą nas zbytnio niepokoić.

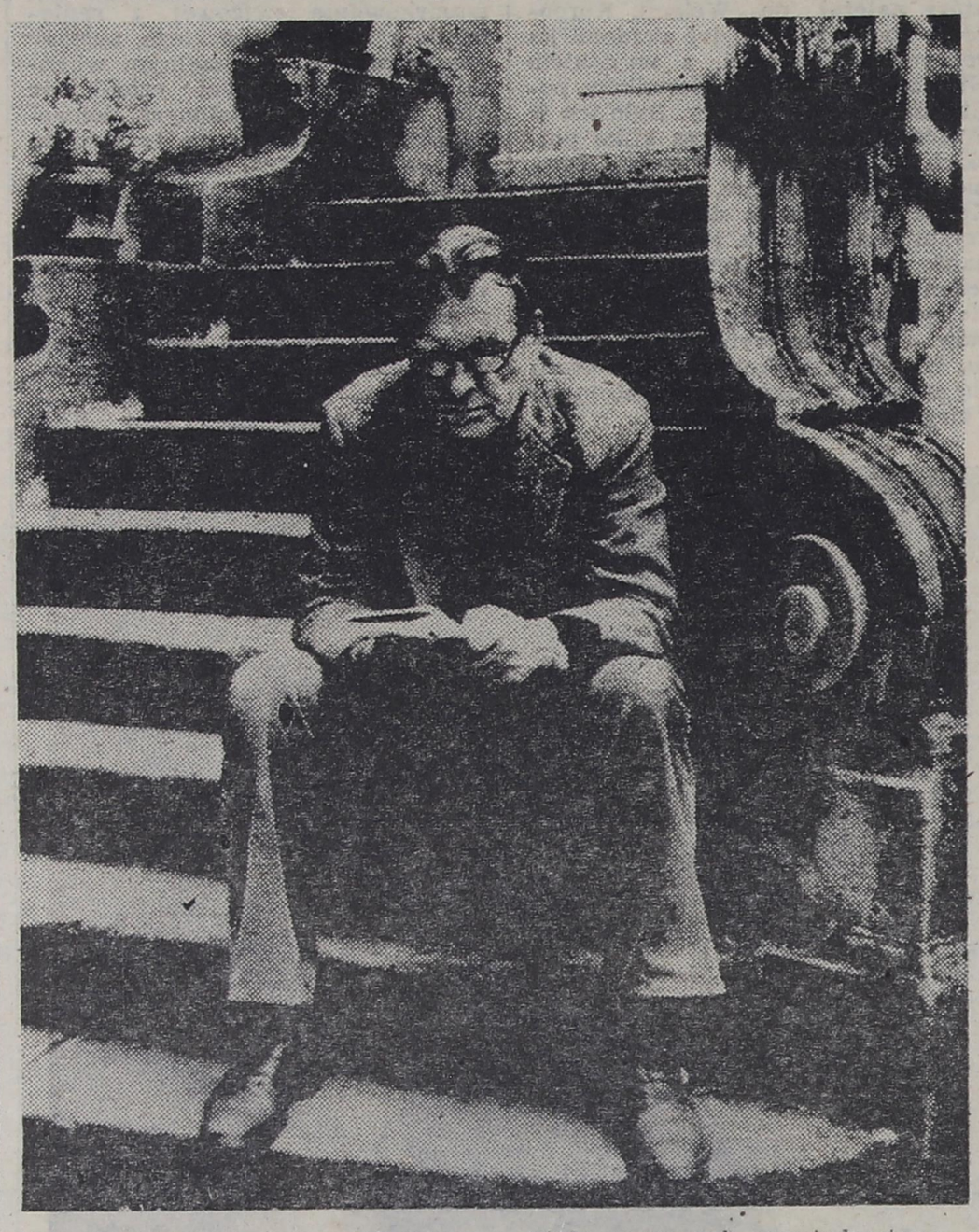
Miłosz był zawsze dla mnie zagadką. To jego, sprzeczne z archetypem warszawskich powstańców, awanturników, przekonanie o wartości własnej głowy, a więc i konieczności wyniesienia jej z opresji. Chyba jest w nim coś białoruskolitewskiego; coś z kompleksu narodu, który boi się, że w pewnym momencie straci kontakt z wielkimi narodami. Być może ta sama ostrożność dyktowała mu również posługiwanie się paszportem litewskim, by móc w swoim mieszkaniu urządzić małą, nielegalną redakcję, w której składano, odbite na powielaczu, tomiki poetyckie. Dzięki temu przecież mógł ukazać się, chociaż pod pseudonimem Jana Syrucia, jego nowy zbiór wierszy.

Spotykałem się z nim często na konspiracyjnych wieczorach poetyckich. Pamiętam go u Andrzejewskich, czytał „Świat, poema naiwne". Na zebraniach organizacyjnych „sesji poetyckiej" nawiązał kontakt z Turowiczem, Wyką, Żukrowskim, Kwiatkowskim. Kisiel wspomina, że widywał Andrzejewskiego i Miłosza, jak chodzili z Janką Cękalską. Wkrótce Miłosz ożenił się z Janką, a Andrzejewski z Marią, z domu Abgar-Abgarowiczówną.

Tuż po wojnie ludzie odnajdywali się, by często się rozstać, bo nie zawsze mogli już być przyjaciółmi. Innymi spotkaniami i rozstaniami rządził ślepy los.

— Niezależnie od kierunku rozejścia się dróg żagarystów po zakończeniu wojny — opowiada Ryszard Matuszewski — byli oni w jakiś sposób z sobą związani. Jerzy Putrament, odwołany w roku 1950 z placówki w Paryżu, stał się jednym z głównych organizatorów życia kulturalnego i literackiego w kraju. A był to okres dość intensywnej indoktrynacji w stosunku do pisarzy i poetów; Indoktrynacji po pierwszych latach powojennych, kiedy akcentowano, że Polska będzie krajem sprawiedliwości społecznej, demokracji i socjalizmu, do którego dojdzie własną drogą. Ale już na przełomie lat 1948/49 kurs zaczął się gwałtownie zmieniać. Pojawiły się pierwsze ataki na tzw. prawicowe odchylenie w partii, nastąpiło oskarżenie i aresztowanie Gomułki, zerwanie Stalina z Titem; zimna wojna. Za tym szło usztywnienie polityki kulturalnej, wymaganie od pisarzy funkcji usługowych. Wielu z ich uznało to za cenę, jaką płaci się za socjalizm, za wyzwolenie spod okupacji. Inni natomiast czuli w tym coś niepokojącego: to, że chłopi otrzymali ziemię z reformy rolnej, jest wprawdzie słuszne, ale przecież z tego nie wynika jeszcze, że pisarze mają pisać tylko „realistycznie", na zadane tematy, natomiast fantazjotwórstwo czy śmielszą metaforyzację, jako formy „strupieszałe", powinni odłożyć do lamusa. Miłosz widział to wszystko przenikliwie, tym bardziej, że miał możliwość spojrzenia z odpowiedniego dystansu. Coraz sceptyczniej oceniał rozwój sytuacji w kraju, ograniczenie integralnej wolności pisarzy. Natomiast marzeniem Putramenta było ściągnięcie Miłosza do kraju i wprzęgnięcie go do rydwanu polskiej literatury socjalistycznej.

Ponieważ zdarzało się, że dyplomaci odwołani z placówek decydowali się na pozostawanie za granicą, wprowadzono praktykę służbowych wezwań do Warszawy, gdzie



zainteresowanych powiadamiano o odwołaniu, odbierając im równocześnie paszporty. Miłosz dostał takie wezwanie w grudniu 1950 roku. Dowiedział się też, że do Paryża już nie wróci. Tymczasem za granicą



czekała żona. Miała niedługo rodzić. Spodziewano się komplikacji. Miłosz nie mógł pogodzić się z taką decyzją, tym usilniej zaczął starać się o zwrot paszportu. Dzięki Natalii Modzelewskiej dotarł do, chorego już wówczas, ministra Spraw Zagranicznych, Zygmunta Modzelewskiego, który spowodował wydanie decyzji zezwalającej na wyjazd. Wydaje mi się, że podjął ją z pełną świadomością tego, iż poeta może nie wrócić. Modzelewski postąpił w sposób na owe czasy niezwykły, natomiast Miłosz stanął przed trudnym konfliktem moralnym, który niejednokrotnie później znajdował odbicie w jego eseistyce, rozmowach z przyjaciółmi, w korespondencji, jaką prowadził z pisarzami. Jako urzędnik, pozostając za granicą, popadł w konflikt nie tylko ze służbową pragmatyką. Ale Miłosz nie był tylko urzędnikiem. Był przede wszystkim pisarzem, człowiekiem pióra świadomym zadań, jakie powołanie pisarskie stawia przed nim, świadomym sytuacji, w jakiej znalazła się literatura po zjeździe pisarzy w Szczecinie oraz narzuceniu im sztywnych reguł korygujących ich sposób pisania i myślenia. Miłosz bardzo dobrze, lepiej niż wielu z nas w owym czasie, zdawał sobie sprawę z fatalnych konsekwencji zniewolenia literatury.

Po definitywnym zerwaniu z Polską atakowany był z wielu stron. Atakowali go pisarze w kraju i — jeszcze ostrzej — pisarze emigracyjni, którzy nie mogli mu darować, że był urzędnikiem w służbie PRL. Mimo osamotnienia pracował. Dzięki pomocy Instytutu Literackiego w Paryżu udało mu się nawet wydać nie tylko kilka książek politycznych, jak tom „Zniewolony umysł" i powieść „Zdobycie władzy", ale i zbiór wierszy „Światło dzienne" oraz autobiograficzną powieść „Dolina Issy". Nie zmienia to jednak faktu, że lata spędzone we Francji były dla niego ciężkie, także pod względem materialnym. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy zaproponowano mu katedrę w Berkeley. Na zrozumienie i zdobycie wielkiego autorytetu wśród amerykańskich kolegów i studentów musiał jednak jeszcze długo i solidnie pracować. Nagroda Nobla jest tylko ukoronowaniem tego wszystkiego.

W Polsce powojennej perypetie związane z publikacją twórczości Miłosza miały charakter wybitnie personalny. Z początku nawet nikt się temu specjalnie nie dziwił. Prośba o azyl za granicą byłego urzędnika służby dyplomatycznej powodowała określone skutki i nikt rozsądny nie mógł oczekiwać, że Miłosz będzie korzystał z uprawnień przysługujących pisarzom w kraju. Ale po XX Zjeździe KPZR i polskim „Październiku" zarysowała się wyraźna szansa na zmianę sytuacji poety. Wtedy, przez krótki okres, można było o Miłoszu pisać, recenzować go, wydawnictwa zawarły z nim nawet umowy o książki. Jednakże ta tendencja wkrótce została wyhamowana. W latach sześćdziesiątych nazwisko Miłosza to pojawiało się w druku to ulegało skreśleniu, na ogół jednak zalecano milczenie. Dopiero w r. 1974 pojawił się jaśniejszy moment, który, w moim przekonaniu, wiąże się z perypetiami ze spuścizną po Gombrowiczu. Po jego śmierci, kiedy uznano wreszcie, że teraz przestał być niebezpieczny i można go już drukować, okazało się, iż spłatał polskim wydawcom figla. Zezwolił na publikowanie swoich dzieł, ale pod warunkiem rozpoczęcia od druku „Dzienników". „Dzienniki" nie są wprawdzie obrazoburcze politycznie, ale jest w nich kilka zdań, które wydawały się cenzurze trudne do strawienia. Być może z obawy przed podobnym figlem ze strony Miłosza zasugerowano w 1974 roku Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" rozpoczęcie rozmów z poetą. Jako pracownika tejże i dawnego znajomego poety poproszono mnie o nawiązanie z nim kontaktu w tej sprawie. Miłosz odpowiedział, że nigdy nie był przeciwny drukowaniu go w kraju i że propozycję przyjmuje, pod warunkiem jednak umożliwienia wydania części jego utworów katolickiemu wydawnictwu „Znak", któremu to uprzednio obiecał. Ale napisał mi też równocześnie, że nie bardzo wierzy w ukazanie się jego utworów w Polsce. I rzeczywiście, wkrótce potem sytuacja w kraju zmieniła się tak, że do sprawy wydania już uzgodnionego z autorem wyboru nikt nie kwapił się powrócić. Zabrałem więc wiersze Miłosza do domu i ułożyłem na najwyższej półce regału.

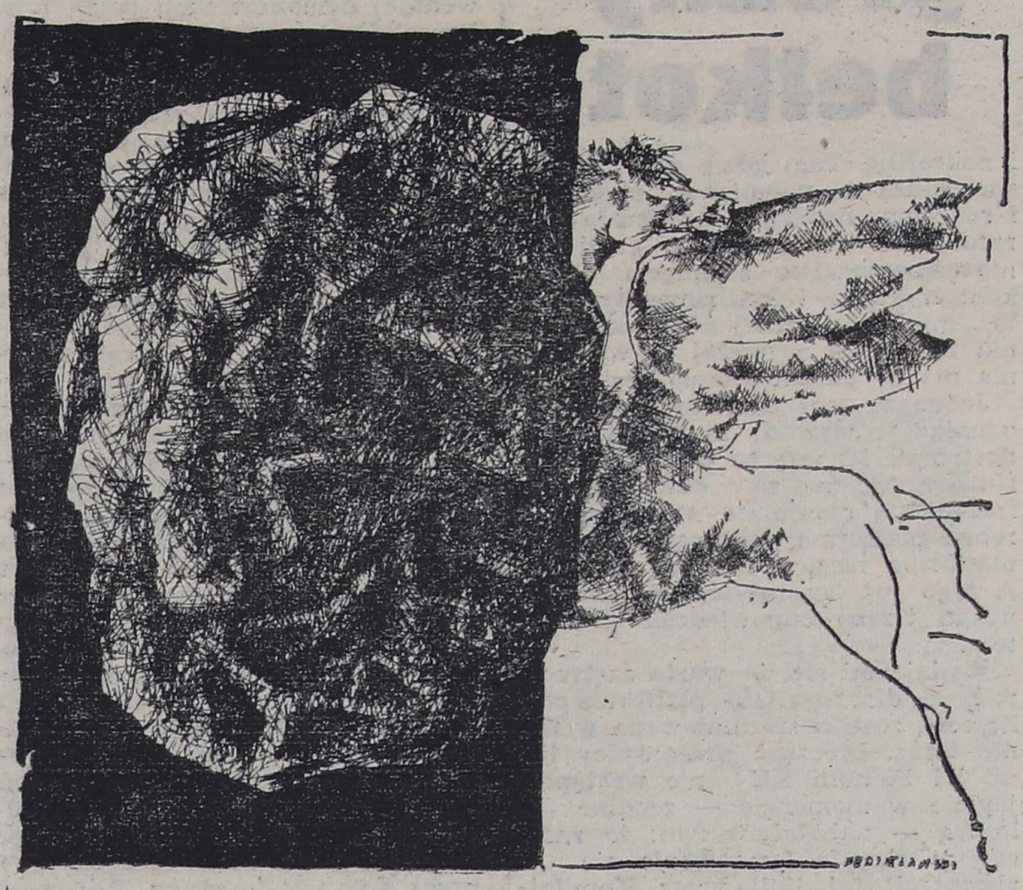
W roku 1979, kiedy dowiedziałem się, że Miłosz kandyduje do Nagrody Nobla, próbowałem nadać tę wiadomość wydawcom i posłużyć się nią jako ewentualnym argumentem w rozmowach na temat wznowienia sprawy wydania wyboru jego wierszy. Niestety, nie byli to wydawcy niezależni. Sytuacja zmieniła się diametralnie w roku 1980. Wtedy też zdjąłem z mego regału maszynopisy zabrane z „Czytelnika" i z powrotem zaniosłem je do wydawnictwa. Cieszę się, że stały się podstawą publikacji najobszerniejszego, jak dotąd, zbioru wierszy poety.

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

Reprodukcje zdjęć z rodzinnego albumu Andrzeja Miłosza wykonał Gabor Lörinczy.

osobowość

miejsce urodzenia



W ciągu wielu wieków, kiedy nad Morzem Śródziemnym powstawały i upadały królestwa, a niezliczone generacje przekazywały sobie wyrafinowane rozrywki i grzechy, mój kraj rodzinny był puszczą, odwiedzaną na brzegach tylko przez okręty Wikingów. Położony był poza zasięgiem map i należał do baśni. Ten drobny półwysep, który dzisiaj odnajduje się prowadząc palcem od Kopenhagi na wschód wzdłuż północnego skraju Niemiec i Polski, nigdy zresztą nie miał być często wspominany przez kronikarzy. Oddalenie od szlaków komunikacyjnych nadawało mu stale charakter jednej z najbardziej odosobnionych enklaw, gdzie czas płynął wolniej niż gdzie indziej. Jednak już zapewne wtedy, kiedy Plato pisała swoje dialogi, kraj ten włączył się w międzynarodowy obieg handlowy. Stamtąd pochodziła przeźroczysta ambra-bursztynu z zastygłym w niej owadem. Bursztyn, przekazywany z rąk do rąk jako przedmiot wymiany dzikich szczepów, odbywał długą drogę lądem, wzdłuż Dniepru do Morza Czarnego, zanim dotarł do greckiego archipelagu. Odnajdywany w wykopaliskach pozwala dzisiaj na przypuszczenia, co do głównych linii, jakimi pionowo z południa na północ — przesuwały się niektóre zdobycze wieku bronzu i wieku żelaza. Tak samo zaznaczała się obecność mieszkańców w nadbałtyckim lesie, do chwili, kiedy, u schyłku średniowiecza, stali się skandalem dla chrześcijaństwa. Skoro umysły zaprzątało wtedy szerzenie prawdziwej wiary, a walka z niewiernymi była głównym tematem rycerskiej pieśni i legendy, łatwo zrozumieć czemu prowincje, do których nigdy nie przeniknęło światło Ewangelii, budziły grozę i przypominały o niespełnionym obowiązku. Tak więc Europa też miała swoich Czerwonoskórych. Dawali oni znać o sobie przez ciągłe zbrojne napady, zjawiając się i wycofując równie nagle do swoich niedostępnych kryjówek. Ich język był niezrozumiały dla otaczających ich Słowian, poziom ich techniki, jeżeli go mierzyć uzbrojeniem, był niższy niż u ich przeciwników. Łuk, oszczep i tarcza obszyta skórą, walczyły przeciwko kopii i pancerzowi, ale tę niższość nadrabiała szybkość manewru. Wtedy też pojawiła się po raz pierwszy wspólna nazwa nadawana tym plemionom: Litwa. W jakim stopniu można do nich zastosować termin barbarzyńców, trudno orzec, zważywszy na niedostatek pisanych źródeł i stronnicze sądy chrześcijan. Miały one dość złożoną organizację religijną, opartą na hierarchii kapłanów i stopniowo wchodziły w fazę organizacji państwowej, rozszerzając swoje posiadłości. Od 1228 roku, kiedy książę Mazowsza sprowadził do pomocy przeciwko ich atakom Zakon Krzyżacki i osadził go na terenie później nazwanym Prusami Wschodnimi, głównym ich wrogiem byli rycerze z różnych krajów zachodnich, podobni do tanków i noszący na żelazie białe płaszcze z czarnym krzyżem. [...]

Być może jest to okazja, żeby zauważyć, jak punkt w którym urodziliśmy się separuje nas od poglądów gdzie indziej przyjętych. Najbardziej nawet zamierzchłe tragedie mają wielką trwałość, bo żyją w przysłowiu, w pieśni ludowej, w podaniu przekazywanym z ust do ust i później stanowią gotowy materiał literatury. Ten obraz zewnętrznego mroku, peryferii na które szli szlachetni zapaleńcy-misjonarze, tak mocno ugruntowany w umyśle niemieckich teologów, że uznali za stosowne włączyć go do wykładu prawd wiary, ukazywał mi się już w dzieciństwie od innej strony. Epopea chrześcijańskiego posłannictwa była w istocie epopeą mordu, gwałtu i bandytyzmu, a czarny krzyż na długo pozostał symbolem klęski gorszej niż dżuma. Wszystkie moje sympatie zwracały się więc ku „szlachetnym dzikusom", którzy bronili swojej wolności i wiedzieli czego bronią, bo tam, gdzie Zakon Krzyżacki odnosił zwycięstwo, budował swoje zamki i zamieniał ludność w pracujących na jego korzyść niewolnych. [...]

Największym niebezpieczeństwem był Zakon Krzyżacki. Jedynym sojusznikiem przeciwko niemu mogła być Polska, też wskutek wzrostu potęgi swoich protegowanych zagrożona. Zawiła strategia polskich dyplomatów szukających dróg na wschód i litewskich dyplomatów ulegających konieczności, doprowadziła do małżeństwa wielkiego księcia Litwy z królową polską Jadwigą i przygotowała stopniowo unię dwóch państw. Jadwiga, córka panującego domu Anjou, przeszła do historii jako święta szczególnego rodzaju: poślubiając barbarzyńskiego wodza złożyła swoje szczęście w ofierze wyższej racji katolicyzmu. Bo czego nie mógł dokonać miecz Zakonu, dokonało małżeństwo: w roku 1386 odbył się masowy chrzest Litwinów, mocą dekretu księcia, nad brzegami rzek. Ostatni w Europie poganie przestali być skandalem dla wiernych [...]

Nie było to państwo narodowe. Przenoszenie wstecz narodowościowych pojęć, które pojawiły się stosunkowo późno, prowadzi do takich absurdów jak spór o to, czy Kopernik był Niemcem czy Polakiem. Językiem oświeconych była łacina, ustępująca, począwszy od Reformacji, w słowie pisanym miejsca polszczyźnie, ale Statuty Wielkiego Księstwa były układane w dialekcie wschodnio-słowiańskim, co stanowi dowód, że etniczne centrum litewskie roztapiało się w masie ludów sobie podporządkowanych. Znaczna część mieszkańców miast używała na co dzień niemieckiego, chociaż kolonowie ulegali zwykle w ciągu paru pokoleń asymilacji. Żydzi przynosili ze sobą skażoną niemczyznę, kupcy z Kaukazu — ormiański. W tym tyglu następowało stopniowe osadzanie się pierwiastków: polski coraz bardziej stawał się synonimem „języka kultury", to jest języka klasy panującej, litewski i dialekty, które później zaklasyfikowano jako język ukraiński i białoruski, schodziły do rzędu „mowy gminu". Z językiem nie łączono jednak idei narodu. Lojalności były oparte na poczuciu związania z terytorium.

Nie było to też państwo jednolite religijnie. Przez jego środek przebiegała linia graniczna pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, niezupełnie wyraźna wskutek jednego z największych przedsięwzięć Watykanu. Przedsięwzięcie to, częściowo tylko udane, polegało na likwidacji schizmy przy pomocy wzajemnych ustępstw. Chrześcijanie bizantyjscy mieli zatrzymać obrządek grecki, a więc nie wprowadzać łaciny. Mieli zgodzić się natomiast na hierachię, której głową był papież. W ten sposób powstał w 1596 roku Kościół Unijny. Miał on się okazać Kościołem męczenników, z chwilą kiedy Rosja opanowała obszary na jakich się rozwijał. Widziała w nim większe jeszcze dla siebie zagrożenie niż w katolicyzmie i tępiła go policyjnymi środkami. [...]

Lojalnie trzeba przyznać, że moje okolice nigdy nie wydały żadnej postaci, która by zaważyła na losach świata i nie wsławiły się żadnym odkryciem. Tylko historycy Reformacji znają nazwę stolicy tego powiatu: Kiejdany, gdzie drukowano wiele protestanckich książek. Siedzieli tam książęta Radziwiłłowie, potężni protektorzy herezji. Poza tym, jeżeli kiedyś uwaga ludzi wykształconych w różnych krajach kierowała się w tę stronę, to tylko wtedy, kiedy uczeni niemieccy odkryli, że chłop tamtejszy mówi najstarszym indoeuropejskim językiem, pod wieloma względami zbliżonym do sanskrytu. W XIX wieku wprowadzono na niektórych niemieckich uniwersytetach naukę litewskiego jako studium pomocnicze przy badaniach nad sanskrytem. [...]

Rzeka Niemen, niedaleko swego ujścia do morza Bałtyckiego, przyjmuje kilka małych dopływów z północy, ze środka półwyspu. Nad jednym z nich, Niewiażą, przypadło mi rozpoczynać wszystkie przygody. Wbrew przypuszczeniom ludzi zamieszkałych w cieplejszych krajach przyroda nie ma tam w sobie nic ze smutku ani monotonii. Jeżeli teren nie jest górzysty, to w każdym razie pagórkowaty i prawdopodobnie pierwsze wrażenia wzrokowe wytworzyły we mnie wstręt do równiny. Ziemia jest urodzajna i mimo dość surowego klimatu można tam uprawiać buraki cukrowe i pszenicę. Jest obfitość wód i lasów, iglastych i mieszanych, ze znaczną ilością dębu, który odgrywał tak ważną rolę w mitologii pogańskiej i odgrywa nadal w mojej mitologii prywatnej. Wspomnienie przyczyniło się do mojej skłonności przeprowadzenia podziałów miejsc, w jakich później się znalazłem, na lepsze i gorsze: lepsze są te, gdzie jest dużo ptaków. Piękno wiosny i lata jest tam zresztą zapłatą za długą zimę. Śnieg spada w listopadzie albo w grudniu i topnieje w kwietniu.

Był rok 1911. Parafia miała dwa kościoły. Do bliższego drewnianego jeździło się albo chodziło na mszę. Przy drugim, murowanym w barokowym stylu (barok przyszedł tu z Jezuitami) i odległym o sześć kilometrów, prowadzono księgi stanu cywilnego. Nazwa tej stolicy parafii jest trudna do wymówienia i moja znajomość starych indoeuropejskich pierwiastków nie wystarcza żeby odgadnąć, co dokładnie oznacza. Tam otrzymałem chrzest i zostałem przyjęty na łono Rzymsko-Katolickiego Kościoła. Równocześnie przez wpisanie do księgi stanu cywilnego przybył jeszcze jeden poddany Rosyjskiego Cesarstwa.

Na wsi mówiono po litewsku i częściowo po polsku. Miasteczko, dokąd wożono płody rolne na sprzedaż, używało na co dzień polskiego jidisz. Ale już żandarm wlokący za sobą długą szaszkę, poborca podatków, konduktor na kolei, importowani dla celów administracji, zwracali się do tubylców po rosyjsku, wychodząc z założenia, że każdy musi zrozumieć język urzędowy. A wyżej była piramida rosyjskich szkół i uniwersytetów, biur, ministerstw, państwowej religii, prawosławia, a na szczycie tron Cara.

Każde dziecko, dodane do wielomilionowej masy narodów podbitych było dzieckiem klęski. Za nim rozpościerała się przeszłość krwawych bitew, rozpaczliwych powstań, szubienic, zesłań na Sybir i kształtowała całe późniejsze życie, niezależnie od jego woli. Przeszłość ta nie ginęła choć była niepowrotna. Commonwealth nie mógł być wskrzeszony, nie mogło być wskrzeszone Wielkie Księstwo Litewskie, które już rozpadało się na narodowości nienawidzące panującej Rosji, ale również nienawidzące się wzajemnie, co tronowi dawało możność wygrywania jednych przeciwko drugim. Należało jedynie zastanawiać się jak doszło do katastrofy, dla wielu umysłów nabierającej cech tylko etapu w dalszym pochodzie Cesarstwa. Mała Moskwa była niegdyś godnym lekceważenia przeciwnikiem dla książąt litewskich. Szachowali ją popierając przeciwko niej Tatarów, zawierając pakty z Nowogrodem i Twerem. Później ich spadkobiercy, królowie polscy, uważali ją za przeciwnika groźnego, ale jednak słabszego, który nie mógł stawić czoła ich armii w większej bitwie. Szala zaczęła się przechylać w połowie XVII wieku. Przechylił ją wreszcie Piotr Wielki. Aż z dawnej chwały nie zostało nic, prócz wstydu i poczucia bezsilności.

Czy było to przeznaczenie czy dowód, że tylko absolutyzm zapewnia potęgę i że demokracja zawsze wreszcie zostanie pokonana? Bo cokolwiek się powie o organizmie państwowym, noszącym tytuł Republiki, z obieralnym królem na czele, zło jakie tam istniało nie powinno być mierzone według naszych miar, ale w porównaniu ze złem u ówczesnych sąsiadów. Trudno o większy kontrast, niż tutaj: chaotycznie rządzony aglomerat, rodzaj koralowej rafy zlepionej z drobin i centralistyczna domena carów. Z tamtej strony wszechmoc panującego, jedność władzy świeckiej i duchownej, spisek i mord pałacowy jako zasadniczy instrument polityki. Z tej strony atmosfera nie tylko braku napięcia ale rozluźnienia, habeas corpus, wrzaski w parlamencie, brak wypadków królobójstwa, korupcja i kupowanie głosów, anarchiczne nałogi jednostek, okręgów i grup. Chłop był wyzyskiwany i nie liczył się (nie liczył się wtedy nigdzie), ale klasowa demokracja była faktem. Decydowała o niej wielość ośrodków walczących o swoje interesy: magnaci schlebiający tłumom drobnej szlachty, monarcha, tak spętany w swoich uprawnieniach, że nieraz poniżał się próbując uzyskać kredyt na wojsko, miasta zachowujące resztki średniowiecznych przywilejów, Kościół i zakony zależne tylko od Rzymu. Wynaleziono też zasadę nigdzie indziej nieznaną. Poseł, oświadczając: liberum veto, zrywał sesję parlamentu, co zakładało, że przy ustawach potrzebna była chimeryczna jednomyślność i że wolność opinii nabierała cech samobójczych. Dyplomaci rosyjscy przyglądali się temu wszystkiemu gładząc brody. Początkowo przyglądali się z odległości. Później, kiedy ich posunięcia były ułatwione przez militarną siłę, posługiwać się pieniędzmi albo presją żeby kupować stronnictwa czy posłów było dla nich rzeczą łatwą. Sukces ich okazał się całkowity.

Próbując posiąść zawiłą sztukę chodzenia na dwóch nogach zamiast na czworakach, nie wiedziałem o tych dziedzicznych obciążeniach, które trwają nie we krwi, ale w słowie, w geście, w nieświadomych reakcjach otaczających nas ludzi. Nie wiedziałem też, że stare urazy zmieniają się już w coś nowego, że nie starcza więzień żeby pomieścić socjalistów, marzących o epoce, kiedy skończy się panowanie jednego narodu nad innym, że żandarmii, przewożąc własność skarbową, padają od kul, a zagrabione pieniądze zasilają kasę konspiracji. Dziedziczyłem nie tylko daleką przeszłość ale i tę wahającą się na granicy teraźniejszego momentu: lot Bleriota przez Kanał La Manche, ludowe Forty w Ameryce, kubizm i pierwsze obstrukcyjne obrazy, filmy Maxa Lindera, Wojnę Japońską w 1905 roku, która dowiodła nieprawdopodobieństwa — że Cesarstwo Rosyjskie nie jest niezwyciężone.

Fragmenty pierwszego rozdziału powieści Czesława Miłosza „Rodzinna Europa".

Grafika Stanisława Kędzielawskiego



ZANIM SKOŃCZY SIĘ XX WIEK

groźny bełkot

Przetoczyła się przez kraj fala rezolucji potępiających tzw. Katowickie Forum Partyjne. Jeden z moich znajomych, który najpierw zapoznał się z tymi protestami, a potem dopiero miał okazję przeczytać w całości deklarację i cztery rezolucje Katowickiego Forum Partyjnego, zwierzył mi się z podejrzenia, że strzelamy z armaty do wróbli. Spodziewał się bowiem, że będą to materiały poważne, w uporządkowany sposób prezentujące argumentację zachowawczego nurtu w partii. No i bardzo się rozczarował stwierdziwszy, że są to materiały wręcz kuriozalne — zarówno w warstwie formalnej, jak merytorycznej; że ich zawartość intelektualna jest żenująco uboga. Czy jest więc sens traktować te bełkotliwe enuncjacje na serio? Czy nie słuszniej byłoby poprzestać na wykpieniu ich?

Trudno odmówić słuszności takiej ocenie. Istotnie, jeśli się czyta, że w partii rzekomo rozprzestarzeniają się — wymieniane jednym tchem — „poglądy liberalno-burżuazyjne, trockistowsko-syjonistyczne, nacjonalizm, agraryzm, klerykalizm, solidaryzm klasowy", to bierze ochota wyliczankę tę przedłużyć, dodając np. żydokomunę, masonerię, nihilizm albo nawet symonię, sodomię i nekrofilię. Tam gdzie się zarzuty sprowadza do nalepiania etykietek i rzucania inwektyw, dyskusja merytoryczna traci sens, bo grozi jej niebezpieczeństwo sięgnięcia po kontretykietki i kontrinwektywy. A to skłaniałoby raczej do zignorowania lub — co najwyżej — wykpienia niż do potraktowania serio.

Jednakże mój znajomy, słusznie uznając te wywody za bełkot, nie dostrzegł, że jest to bełkot ukierunkowany; że za demagogiczną frazeologią rysuje się wyraźnie odrębna platforma polityczna. Jest to platforma negacji linii VI Plenum. A tego już ignorować nie wolno, na to trzeba odpowiedzieć protestem.

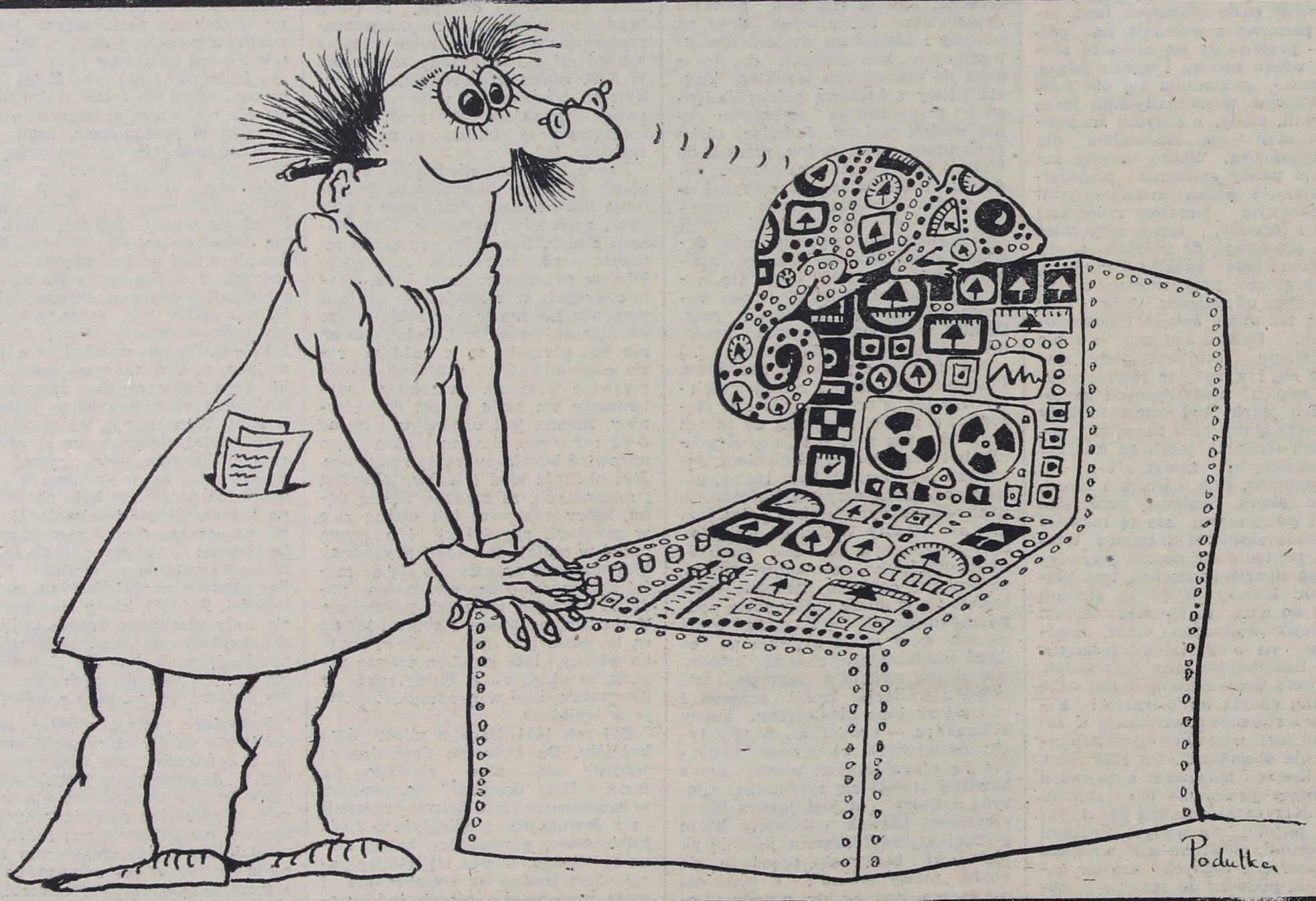
Wydaje mi się, że warto zastanowić się, dlaczego taka platforma polityczna została sformułowana właśnie teraz. Dlaczego przeciwnicy linii VI Plenum KC nie wystąpili jawnie w momencie — zgodnie z logiką — najwłaściwszym: to znaczy w okresie formowania się i akceptacji tej linii przez Komitet Centralny, natomiast występują dopiero teraz, po dziewięciu miesiącach.

Przez długi czas wewnątrzpartyjna opozycja przeciwko linii VI Plenum, to znaczy: przeciw konsekwentnej demokratyzacji partii i jej konsolidacji na gruncie socjalistycznej odnowy, stosowała taktykę cichego, zakulisowego oporu. Nikt nie wypowiadał się jawnie przeciw odnowie, jednakże przy tej powszechnej aprobacie proces odnowy był mocno hamowany. Widać to było po wyraźnym opóźnianiu realizacji tych punktów porozumień sierpniowych, które nie wymagały renegocjacji; widać to było po odwlekaniu wyznaczenia konkretnego terminu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Przez wiele miesięcy taktyka ta przynosiła zamierzone rezultaty. Jej twórcy przeliczyli się jednak, nie doceniając — zainicjowanego przez robotnicze organizacje partyjne i coraz bardziej rozszerzającego się — ruchu aktywizacji partii, jej odradzania się. Pod naciskiem mas partyjnych IX Plenum KC przyjęło demokratyczny regulamin wyborczy i wyznaczyło termin zjazdu, zaś X Plenum dokonało zmian — choć nie tak daleko idących, jak postulowane — w Biurze Politycznym, powołało komisję do spraw rozliczeń działaczy, którzy doprowadzili Polskę do kryzysu, i poddało pod dyskusję materiały przygotowane przez Komisję Zjazdową. Tak więc taktyka cichego hamowania procesów odnowy, zachodzących wewnątrz partii, taktyka zakulisowych nacisków w ostatniej fazie przygotowań do Zjazdu okazała się mniej skuteczna niż poprzednio.

Nie sądźmy, że widoczne w działaniu Katowickiego Forum Partyjnego ujawnienie się opozycji wobec linii socjalistycznej odnowy oznacza odejście od tej taktyki. Jestem przekonany, że próby niejawnego hamowania procesu demokratyzacji życia wewnątrzpartyjnego ani nie zostaną zaniechane, ani nawet nie osłabną. Po prostu przeciwnicy linii VI Plenum, doszedłszy do przekonania, że IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR nie spełni nadziei, jakie z nim wiązali, już teraz przygotowują sobie pole do walki przeciwko rezultatom tego Zjazdu. Już teraz insynuują że *„X Plenum KC PZPR nosiło charakter kompromisu z siłami prawicowymi i rewizjonistycznymi"*, już teraz atakują IX Zjazd (choć się on jeszcze nie odbył!), twierdząc, że okoliczności te stawiają pod znakiem zapytania rzeczywistą zdolność Zjazdu do przywrócenia partii jej marksistowsko-leninowskiego charakteru, zwartości szeregów, zdolności do przewodzenia klasie robotniczej w procesie socjalistycznego budownictwa.

Nie należy więc poprzestawać na konstatacji, że mamy do czynienia z bełkotem i żenująco ubogą zawartością merytoryczną deklaracji i rezolucji Katowickiego Forum Partyjnego. Bo jest to groźny bełkot i groźne ubóstwo.

ZBIGNIEW SIEDLECKI



Rysunek Andrzeja Podulki

Podulka

reflekSje

NA PIĘCIOLINII

giełda płyt

Polski przemysł fonograficzny to jest temat-rzeka, i jeśli na muzycznym rynku nic się nie dzieje, nie ma głośnych wydarzeń (albo skandali), zawsze można o nim pisać i czytelnikowi nie sprawi się zawodu. Największy chyba bezsens w polskiej kulturze objawia się w takiej chociażby postaci: zagraniczny turysta chce kupić jakiekolwiek płyty z muzyką Chopina, Lutosławskiego czy Pendereckiego, a jeśli chodzi o jazz — Namysłowskiego, Urbaniaka i zespołu NOVI, chce posłuchać „Mazowsza", lub „Śląska", i nic z tego. W tym celu musi wrócić do swojego kraju, gdzie płyt z tą muzyką jest na kopy. Słusznie więc zauważył Ibis-Wróblewski, że jedyną płytą, która pozostanie po „Polskich Nagraniach" będzie... płyta nagrobna.

Przy braku podstawowych nagrań polskich kompozytorów kpiną byłoby mówienie o nagraniach licencyjnych; tak z muzyką poważną, jak i rozrywkową. Wprawdzie od czasu do czasu ukazują się bądź to przedruki zachodnie, bądź oryginalne wydania zagraniczne, ale jest to kropla w morzu, zaś przypadkowość repertuaru — ogromna. Chwilami ma się wrażenie, iż płyty te są dołączone gratisowo — lub na zasadzie sprzedaży wiązanej — do partii koncentratu pomidorowego lub gumy do żucia; licencyjne zaś zakupy przyprawiają o zawrót głowy i są bardziej bezsensowne niż polska ekonomia, co już mówi samo za siebie. Tłoczy się u nas bowiem takie koszmarki (najczęściej orkiestrowe wersje przebojów), jakich w Wielkiej Brytanii i USA powstają tysiące, chociaż prawie nikt ich nie kupuje. Ale tam przecież nagrywa się wszystko; obok szmiry cały czas na półkach leżą rarytasy.

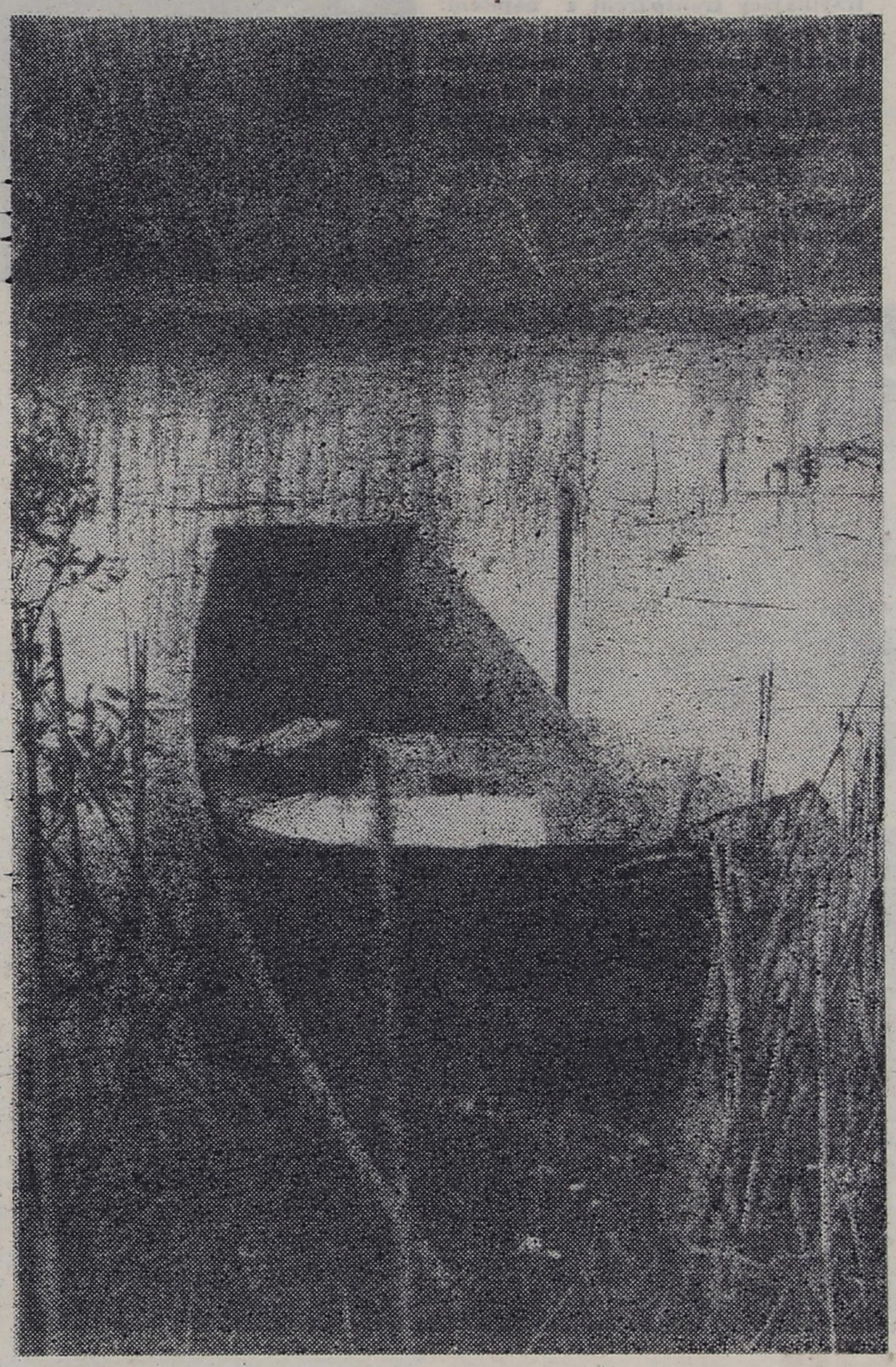
Tę fatalną sytuację ratują u nas w pewnym sensie giełdy płyt, organizowane przeważnie w klubach młodzieżowych, rzadziej — przy okazji kiermaszów książek. Dostawy bowiem zagranicznych płyt jazzowych i rozrywkowych do mieszkań są w chwili obecnej już tak duże, iż praktycznie nowy long play każdego bardziej znanego wykonawcy, w kilka tygodni po ukazaniu się na Zachodzie, jest już prezentowany w radiu, a przecież te nagrania pochodzą wyłącznie z prywatnych zbiorów. Tak jest z muzyką lekką; natomiast fatalnie, jeśli chodzi o repertuar poważny. Interesują się nim przede wszystkim ludzie starsi, którym po prostu nie chce się organizować giełd, chociaż czas, by o tym również pomyśleć. Popularność tego typu imprez zapewne byłaby dużo mniejsza, bo i zainteresowanie w społeczeństwie nie takie, i kolekcjonerzy niezbyt chętnie pozbywają się atrakcyjnych nagrań.

Jednakże ta sytuacja, w jakiej istnieje nasz, rozbudowany obecnie do granic możliwości (kilka firm płytowych!), przemysł fonograficzny, jak zwykle doprowadza do rozszalenia się cen. Oto przykłady. Podwójny album „Pink Floyd", zatytułowany „The Wall", kosztował w USA — w chwili ukazania się — 22 dolary. W miesiąc później, kiedy w paczkach prywatnych zaczął docierać do Polski, jego cena na giełdach wynosiła 5 tysięcy złotych! Za long play Johna Lennona „Double Fantasy" (obecnie niecałe 7 dolarów) sprzedający żądają 2—2,5 tysiąca. Pikanterii dodaje tu bowiem fakt, iż ukazał się on kilka dni przed zabójstwem ex-Beatles'a. A więc dolar uzyskuje tu trzy — lub czterokrotną cenę swojej czarnorynkowej wartości. Mało tego: na giełdach pojawiają się również polskie płyty. Za long play grupy VOX (80 złotych) płaci się 600—700 złotych; podobnie rzecz ma się z płytą zespołu „Exodus". Singiel „Kasy Chorych" (20 złotych) kosztuje „zaledwie" 200 złotych itd.

Giełda, jak sama nazwa wskazuje — rządzi się innymi prawami, bo jej egzystencję uzasadnia bezruch naszej fonografii. Jak tak dalej pójdzie dojdziemy do absurdu: za nowe nagrania Laskowskiego trzeba będzie płacić 500 złotych, Krawczyka 800, a jak Maryla Rodowicz straci głos (co, według mnie, nastąpi już wkrótce, bo ileż można się tak eksploatować?), to jej piosenecznie kupowane będą zapewne nawet w dolarach; zaś na warszawskim bazarze przy ul. Polnej bez wątpliwości!

JAN JANUSZEK

alarm dla Biebrzy akt IV



REPORTER: Czy Biebrzy grozi śmierć? Tak, ale egzekucja została przełożona. Mówi doktor Jan Raczyński z białowieskiej stacji Polskiej Akademii Nauk.

JAN RACZYŃSKI: Dolina Biebrzy to ogromny obszar łąk; rzeka jest tylko małym fragmentem tego terenu. Tak by się pozornie wydawało, w rzeczywistości cała dolina funkcjonuje dzięki systemowi wodnemu, w którym Biebrza odgrywa najistotniejszą rolę. Dlatego każda ingerencja w stosunki wodne na tym terenie musi odbić się na dolinie, na jej szacie roślinnej i zasiedlających ją zwierzętach. Cechą charakterystyczną Biebrzy jest fakt, że w okresie wiosennym, a również i jesienią, wylewa ona niesione masy wód i zatapia ogromne obszary doliny. W ten sposób jej oddziaływanie sięga obszarów nieraz znacznie oddalonych od samego koryta rzeki. Wody zatrzymują się na tym poziomie dość długo; wiosenny zalew prawie co roku trwa do maja, a stan wody, jeszcze po spłynięciu do koryta, utrzymuje się przez połowę lata. Wszelkie zmiany w składzie chemicznym wód odbijają się przede wszystkim na roślinności, porastającej dolinę. Stan obecny wskazuje już na zakłócenia, wynikające z intensyfikacji rolnictwa, ze spływu z terenów rolnych wód niosących związki azotowe. Jeżeli te wpływy będą się utrzymywały w fazie wylewów, należy się spodziewać daleko idących zmian degradacyjnych w środowisku.

REPORTER: Dziś będę prezentował nagrania pozornie od Sasa do lasa. Wystąpią naukowcy z Białowieży, młodzi robotnicy z Grajewa, kłusownicy znad Biebrzy, radni. Nie zabiorą głosu dyrektorzy, bowiem po trzech audycjach prawie wszyscy zainteresowani gwałtownie stracili ochotę do rozmowy z reporterem. Mówi przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Grajewie.

HENRYK ŚWIDERSKI: Na poprzedniej sesji, 10 lutego 1981 r., dyrektor Zakładu Mleczarskiego w Grajewie, inż. Szulgo, oświadczył, że termin uruchomienia zakładu zbliża się już nieuchronnie, ale pod względem technicznym zakład nie jest przygotowany. Między innymi ze względu na całkowity brak zaplecza technicznego. Poza tym są jakieś komplikacje, związane z niedopracowaniem systemu skupu mleka.

REPORTER: Inżynier Edmund Szulgo, dyrektor zakładu, który ma zatruć rzekę z powodu złej oczyszczalni ścieków, odmówił udziału w nagraniu, ale powiedział, że dotychczas nie są zalegalizowane urządzenia do pomiaru ilości zakupionego mleka. Załogę, zgodnie z poleceniami swoich przełożonych, skompletował już we wrześniu ubiegłego roku; ponad dwieście osób. Do dziś, z powodu przesuwania terminu uruchomienia mleczarni, są straty w wysokości ośmiu milionów złotych. Gospodarka ściekowa w dalszym ciągu nie jest uregulowana. Są również inne straty, ale o tych za chwilę. Poprosiłem o wypowiedź przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności", Jana Łopatkowskiego, oraz członka Komisji, Adama Krukowskiego. Dziwne wrażenie sprawiają grupy młodych chłopców i dziewcząt wałęsających się po fabryce z miotłami, szpachlówkami i innym sprzętem porządkowym.

JAN ŁOPATKOWSKI: Cała praca polega na sprzątaniu, doczyszczaniu. Wydawało nam się, że za sprzątanie odpowiada każdy wykonawca. Ktoś przecież pieniądze za nie wziął.

ADAM KRUKOWSKI: Nie chodzi o to, żeby sprzątali dokładnie, lecz te sterty gruzu, złomu i wszystkiego powinni po sobie usunąć.

JAN ŁOPATKOWSKI: Jeszcze była taka historia, że myśmy zwracali na to uwagę, to zarząd mówił: „Lepiej nie zadrażniać się z przemysłówką, bo w ogóle będą nam utrudniali szybsze uzyskanie tego zakładu".

ADAM KRUKOWSKI: Na pewno interesować będzie pana, co ludzie, zatrudnieni od września, tu robili. No, widzi pan, czysto już jest.

REPORTER: Ale dlaczego szwendają się z miotłami?

ADAM KRUKOWSKI: Po prostu nie mają zabezpieczonego frontu robót.

REPORTER: Dlaczego panie uciekają? Nie macie co robić? A pan? Od kiedy pan pracuje tutaj?

ROBOTNIK: Od sierpnia.

REPORTER: I co pan robił przez osiem miesięcy?

ROBOTNIK: No, trzy miesięce na kursie byliśmy, a teraz przy sprzątaniu.

REPORTER: Ile osób przez kilka miesięcy sprząta zakład?

ROBOTNIK. Około stu.

REPORTER: Jak to się ma do zarobków?

JAN ŁOPATKOWSKI: Przykładowo — osoba pracująca na produkcji ma piętnaście czterdzieści na godzinę, zarobiłaby gdzieś około czterech i pół tysięca. A teraz zarabia około trzech tysięcy dwustu złotych.

ADAM KRUKOWSKI: No, dzisiaj zamiata się tutaj, jutro się zamiata korytarz, i tak w kółko. Kilka osób chciało się zwolnić, młodych dziewcząt; automatycznie ich dyrektor postraszył, że zostaną obciążone kosztami szkolenia — w wysokości chyba dwunastu tysięcy.

JAN ŁOPATKOWSKI: Średnie wykształcenie mają, względnie studium jakieś policealne. Z wykształceniem mleczarskim, niestety, jak pan widzi, miotła i tylko miotła.

REPORTER: Błąd młodych robotników polega na tym, że myślą logicznie. Ale bałagan panuje nie tylko w inwestycjach; powstaje już w dolinie Biebrzy. Uciekają z niej bobry, wydry, cietrzewie.

JAN RACZYŃSKI: Z tego rodzaju zjawiskami mamy do czynienia bardzo często w biologii, gdzie bodźce nie sumują się na czysto arytmetycznej zasadzie. Nieraz wystarczy przekroczenie pewnego progu, aby wystąpiła katastrofa.

REPORTER: Powróćmy do mleczarni.

JAN ŁOPATKOWSKI: Widzi pan przed sobą budynek socjalny, który ma być oddany do użytku, jak twierdzi nasz prezes, trzydziestego czerwca. Jak pan uważa, zostanie on oddany do użytku trzydziestego czerwca?

REPORTER: Nie jest jeszcze gotowy nawet w stanie surowym.

JAN ŁOPATKOWSKI: Teraz jest moda na to, żeby tłumaczyć się trudnościami, ale to przecież nie one zawiniły. Budowę mleczarni rozpoczęto w 1974 — siódmy rok idzie!

ADAM KRUKOWSKI: Czy ci naukowcy, eksperci, mieli wtedy inny rozum, a teraz mają inny?

JAN ŁOPATKOWSKI: To jest budynek warsztatowy i — moim zdaniem — powinien być najwcześniej oddany do użytku, wyposażony w odpowiednie narzędzia, takie jak frezarka, tokarka, wiertarka, spawarka. Gdy nastąpił rozruch pierwszego kotła, nie było czym po prostu głupiej śrubki dorobić. Wszystko na druty się kręci i po pewnym okresie trzeba znowu dorabiać.

REPORTER: Ta wielka improwizacja trwa nie tylko w sferze inwestycji. Nad chorą Biebrzą jest coraz więcej rozwydrzonych kłusowników.

JAN RACZYŃSKI: Dopóki kłusownictwo nie jest zorganizowanym działaniem, dopóty można je jeszcze tolerować. Jeżeli jednak dotyczy gatunków rzadkich, chronionych, i jeśli wiążą się z tym zyski, zjawisko to jest już niebezpieczne. Specyfika terenu, jego bezludny charakter, odległość od siedzib ludzkich, trudność penetracji, kontroli, ułatwiają bezkarne uprawianie tego procederu. Przemierzając bagna spotkaliśmy nastawione wnyki, złowione zwierzęta; czasem były to lisy, czasem jenoty. Przyrosty populacji bobra wskazują, iż odbywa się tam nieplanowana eksploatacja zwierząt.

REPORTER: Mówi doktor Zofia Gębczyńska z Zakładu Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży.

ZOFIA GĘBCZYŃSKA: Kłusownictwo na ryby jest dosyć silne. Dopóki odbywa się ono sieciami, nie może wyrządzić tyle szkód, co prąd. On zabija wszystko, co żyje, dlatego jest szczególnie groźny.

KŁUSOWNIK: Przed wojną tyle ryb tu było! Wszyscy łapali. Każdy siatkę, niewód miał, i ryby wystarczało. A dzisiaj nie ma ryby. Licho go wie, gdzie ta ryba poszła, kto ją zabrał? Kłusownik nie wyłapie ryby nigdy. Z fabryk, z tych przemysłów, ścieków nie oczyszczą i dlatego ryby nie ma.

JAN RACZYNSKI: Kiedyś gospodarka rybami w Biebrzy odbywała się inaczej. Byli rybacy, którzy się trudnili tym w sposób zawodowy. Dzierżawili odcinki rzeki, łowili, i nie eksploatowali ich rabunkowo.

REPORTER. A w Grajewie mówi się o kolejnym, trzecim terminie uruchomienia mleczarni. Jest on również pod znakiem zapytania. Mówi brygadzista kotłowni.

STEFAN ELBIN: Jeszcze nie jest wykończona całkowicie: automatyka nie jest uruchomiona, pomiary elektryczne nie są uruchomione. My jedziemy w tej chwili, jak to mówią, na wyczucie prawie. Przy próbie ciśnieniowej, już przed samym rozruchem kotła, nastąpiła awaria podgrzewacza wody, który po prostu strzelił. Podgrzewacz wody został wymieniony, ale brakuje znów silnika do wentylatora podmuchu. W tej chwili ten kocioł jest praktycznie niesprawny. Z trzech — tylko kocioł drugi nadaje się do użytku.

REPORTER: Grajewską mleczarnię buduje dwanaście przedsiębiorstw i każde ma coś na sumieniu. Mnie najbardziej interesuje ochrona wód Biebrzy. Dnia 10 lutego tego roku radni miejsko-gminni w Grajewie zobowiązali naczelnika miasta do udaremnienia rozruchu zakładu. Mówi przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej.

HENRYK SWIDERSKI: Jeszcze na uwagę zasługuje wystąpienie wicewojewody łomżyńskiego, inżyniera Ciupy, który na sesji w dniu 10 lutego prosił Radę o niepodejmowanie uchwały o wstrzymaniu zakładu mleczarskiego. Obiecywał, że w ciągu najbliższego miesiąca wszystkie sprawy, związane z oczyszczalnią ścieków, będą wyjaśnione i w ciągu miesiąca Rada zostanie poinformowana w takim stopniu, który umożliwi podjęcie prawidłowej uchwały. Dzisiaj jest 13 marca, a więc miesiąc minął, a z Urzędu Wojewódzkiego żadne materiały nie nadeszły.

TOMASZ PIOTROWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

obywatel zajęty



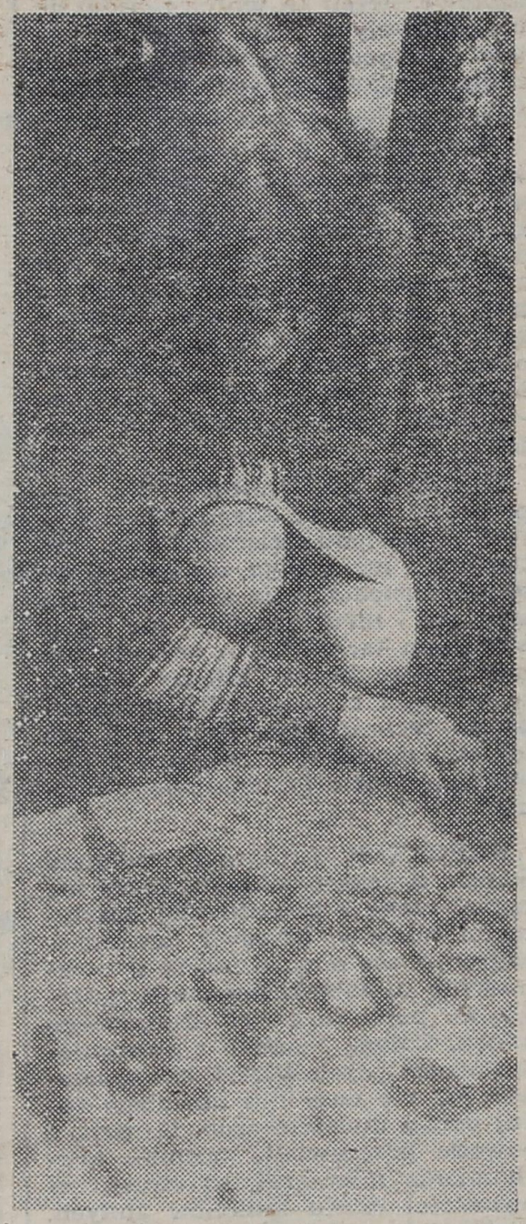
Umajona uroczyście Ostrołęka dostojnie obchodziła 150-lecie słynnej bitwy Powstania Listopadowego na podmiejskich błoniach. Rolnicy, członkowie NSZZ RI „Solidarność" z Kadzidła i okolic, w skupieniu, krok za krokiem, nieśli ogromny krzyż, własnoręcznie przez nich wystrugany; postawili go obok głazu pamiątkowego w pobliżu historycznych fortów.

Milczący tłum wypełnił amfiteatr, wysłuchując w zadumie mszy świętej, celebrowanej przez ks. biskupa sufragana Tadeusza Zawistowskiego. Zróżnicowanie przynależnościowe niwelowała wspólnota celu: obok kobiety mocno dzierżącej biało-czerwoną flagę — dwaj kombatanci trzymający transparent z napisem: „Bóg—Honor—Ojczyzna"; obok zakonnicy śpiewającej z nastolatkami pieśni religijne w stylu country — prezydent Ostrołęki, w skupieniu wysłuchujący kazania celebransa; nieopodal dyrygującego ruchem milicjanta — młodzi ludzie w biało-czerwonych opaskach.

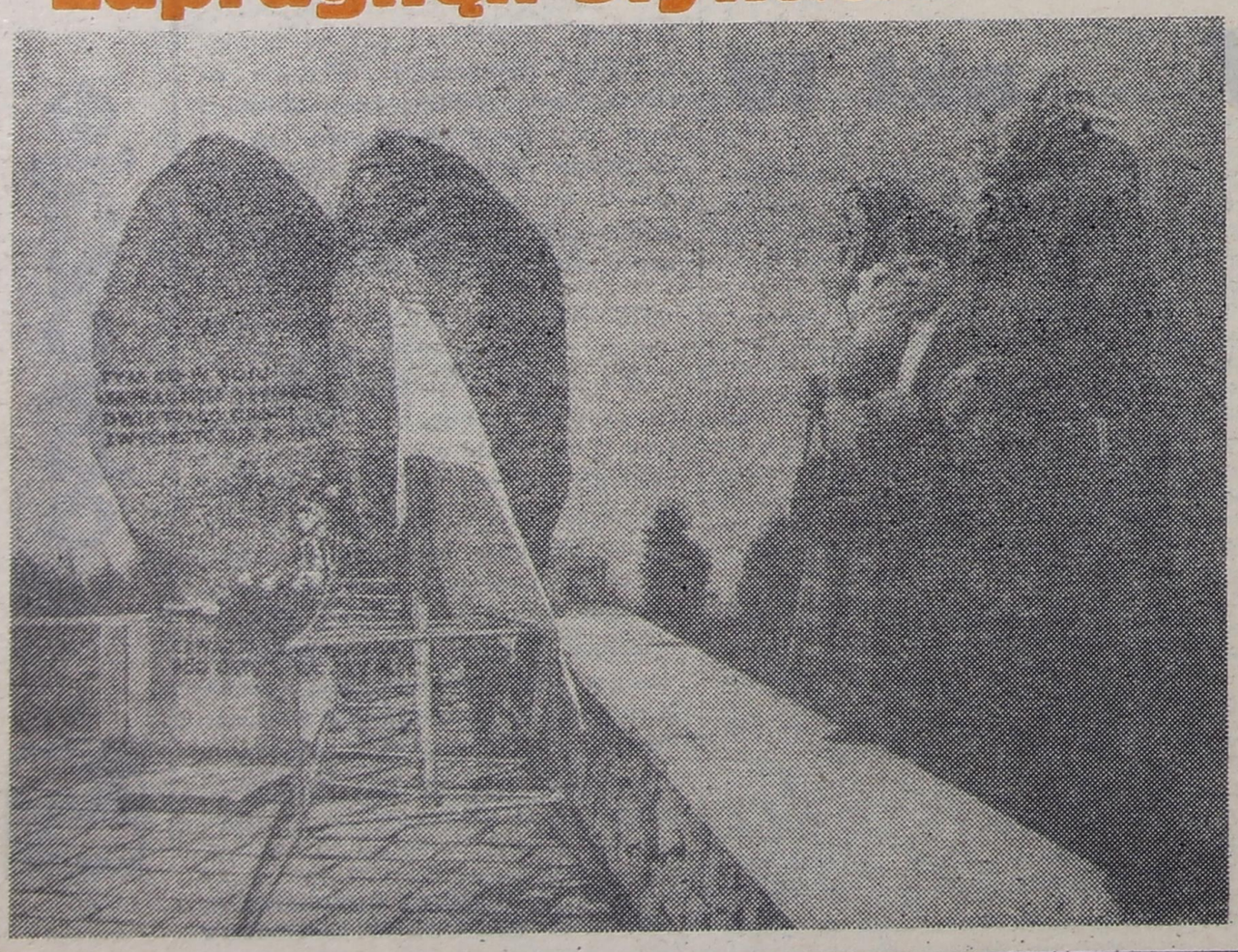


Fotoreportaż: Gabor Lörinczy





tym co w boju zapragnęli słynąć...





11.06.1981 TV 17.06.1981

CZWARTEK 11 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II; 6.30 — biologia, sem. II.
9.00. Kino Teleferii: „Dziewczyna i chłopak" — „Poprawka".
13.30. TTR, RTSŚ — historia, sem. IV;
14.00 — mechanizacja rolnictwa, sem. IV;
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
16.55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Informator Turystyczny.
17.50 „Czy więcej wiemy?" — Tajemnica Ewolucji".
18.20. Na manewrach.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Pamiętnik zdrady" — film dokumentalny.
21.05. Pegaz.
21.50 Próby.
22.20. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

17.15. Program dnia.
17.20. Język rosyjski (19).
17.55. Język francuski (19).
18.25. Język angielski dla zaawansowanych (13).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — język polski — Kontrola umiejętności wypowiadania się uczniów.
20.30. NURT — praca — technika; 21.00 — psychologia.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Bez recept — „Wakacje".
22.10. Śpiewa Helena Obrazcowa.

PIĄTEK 12 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — historia, sem. IV; 6.30 — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
9.00. Teleferie: „Klub Pszczółki Mai", — „Dzewczyna i chłopak" (2) — „Tosiek i Tomka".
13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. II; 14.00 — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
15.30. NURT — technika.
16.55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Świadkowie.
18.00. Małe czy duże — program publicystyczny.
18.30. „Lekarz radzi" — Choroby naczyń obwodowych nóg.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Gdy myślę — Partia".
20.15. Rolnicze rozmowy.
20.25. „Poémat o skrzydłach" (2).
21.55. Listy o gospodarce.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Filmowe Studio Młodych — „W wannie" — film TP.

PROGRAM II

16.55. Język rosyjski (20).
17.25 Język francuski (20).
17.55. Język angielski dla zaawansowanych (13).
18.30. Poradnia „Zaufanie".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego.
21.00. „Mówić nie mówić" — „Koncepcja antykoncepcji".
21.30. 24 Godziny.
21.55. Teatr Wspomnień (1970): Fernando De Rojs — „Celestyna" — w reżyserii Tadeusza Minca.

SOBOTA 13 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. II; 6.30 — mechanizacja rolnictwa, sem. II; 7.00 — historia, sem. II; 7.30 — chemia, sem. II.
9.00. Kino Teleferii — „Dziewczyna i chłopak" (3) — „Szef i inni".
9.45. Radar.
10.00.—0.55. STUDIO 2
10.00. Słowno-muzyczny magazyn Wojciecha Manna.
10.45. W starym kinie: „Szpieg w masce" w reż. Mieczysława Krwawicza.
12.00. Kolorowe piosenki.
12.30. Tak czy nie (2) — teleturniej.
12.55. Spotkanie dobrych znajomych — Goście Pszczółki Mai.
13.40. Kino-oko.
14.55. „Pies" film TP.
15.30. Flesz — magazyn reporterów.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Festiwal Piosenki Radzieckiej — Zielona Góra 81. Koncert laureatów (cz. I).
17.15. Klub Studia 2 — Czy znieść karę śmierci.
17.55. Po prostu fach — rep. filmowy.
18.15. Muppet show.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Punkt widzenia (odcinek ostatni).
21.10. Kiedy patrzę na to, to... — rozmowa z Romanem Polańskim.
21.50. Festiwal Piosenki Radzieckiej — Zielona Góra 81. Koncert laureatów (cz. II).
22.50. Studio Sport.
23.00. Dziennik Telewizyjny.
23.20. Kino nocne: „Ulice San Francisco" — „Niepotrzebna śmierć".
0.15. „Królowie życia" — zespół Kombi.

PROGRAM II

16.00. Zgadnij kim jestem?
16.45. Popołudnie przygody i podróży.
18.15. „Wyrok" (4) — „Poszukiwania".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Godzina jazzu.
21.00. Przeboje mistrzów.
21.45. 24 Godziny.
21.55. Blizny (3).
23.00. Studio Sport.
23.40. Poeci i ich wiersze — Zbigniew Ruciński.

NIEDZIELA 14 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

6.35. TTR, RTSŚ — wiedza naszą szansą.
6.55 Nowoczesność w domu i zagrodzie.
7.25. Program dla rolników.
8.25. Telewizjada.
9.00. Teleranek.
10.30. Antena.
11.00. Wielkie miasta świata — Leningrad.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.45. Estrada Folkloru.
13.15. Dlaczego?
15.55. Kolokwium — Architektura, człowiek, środowisko.
14.35. Obracam w palcach złoty pieniądz czyli Perfect — program rozrywkowy.
15.05. Losowanie dużego lotka.
15.20. Telewizyjny koncert życzeń.
16.05. Mistrzostwa świata na żużlu (półfinały).
18.30. Reportaż filmowy.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Buddenbrookowie (8).
21.05. Sportowa Niedziela.
21.30. Festiwal Piosenki Radzieckiej — Zielona Góra 81. Koncert Przyjaźni.

PROGRAM II

10.15. Liga Obrony Kraju — program wojskowy.
10.45. Przeboje tygodnia.
11.45. Punkt widzenia (odcinek ostatni).
12.55.—22.50. — TYLKO W NIEDZIELĘ w Zamku Książąt Pomorskich.
13.05. Spór o zamek.
13.40. Giełda bibliofilów (1).
14.00. Dla dzieci: Przygoda z Piffem.
14.40. Jak potok płynie czas — reportaż filmowy.
15.00. Kwiaty i piosenki.
15.20. Regaty o Puchar TWN.
15.30. Samotni żeglarze.
15.45. Sejm czwartego wymiaru czyli od magii do psychotroniki.
16.20. Regaty o Puchar TWN.
16.25. Fama retro.
16.55. Finał regat o Puchar TWN.
17.00. Kryzys rybołówstwa.
17.25. Dziwny cudzoziemiec — reportaż.
17.45. Odprawa Posłów Greckich.
18.20. Giełda biliofilów (2).
18.30. Nieliczne Towarzystwo Muzyczne.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.05. Carmen — spektakl baletowy.
20.45. Klejnoty książąt pomorskich.
21.00. Pożegnanie ze Szczecinem.
21.15. Filmoteka Narodowa: Filmy Kazimierza Kutza — „Ktokolwiek wie...".

PONIEDZIAŁEK 15 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie: „Dziewczyna i chłopak" (4) — „Dochodzenie".
16.25. NURT — pedagogika.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Czterej pancerni i pies" — „Dom" (ostatni odcinek).
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.10. Teatr Telewizji: Aleksander Suchowo-Kobylin — „Śmierć Tarełkina" w reż. Wiesława Wodeckiego.
22.10. Rekompensata — program publicystyczny.
23.10. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

17.35. Język rosyjski (21).
18.00. Język francuski (21).
18.30. Język angielski dla zaawansowanych (14).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00—23.00. STUDIO BIS.

WTOREK 16 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie: „Dziewczyna i chłopak" (5) — „Oliwa do ognia".
16.30. Telewizja w sprawie miliardów.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Polska Kronika Filmowa.
17.40. Interstudio.
18.10. CDN.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Twój współczesny: „Szukając wyjścia" — węgierski dramat społeczny.
21.35. Program publicystyczny.
22.00. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Zacznijmy od Mony Lizy.
23.05. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

17.30. Język rosyjski (22).
18.00. Język francuski (22).
18.30. Język angielski dla zaawansowanych (14).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Antykwariat.
20.30. Wtorek melomana.
21.30. 24 Godziny.
21.40. W starym kinie: Eugeniusz Cękalski.

ŚRODA 17 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie: „Dziewczyna i chłopak" (6) — „Tomek i Tosia".
16.00. NURT — praca, technika.
16.30. Telewizja w sprawie miliardów.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Informator turystyczny.
17.45. Magazyn motoryzacyjny.
18.00. Losowanie expres lotka i małego lotka.
18.10. Polska leży na biegunie.
18.50. Dobranoc.
19.00. Wyspy Hiszpanii — Formontera.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.05. Uroki — program literacko-muzyczny.
21.25. Teatr Telewizji: Włodzimierz Paczyński — „Polityka" w reżyserii Jerzego Afatanasjewa.
22.35. Dziennik Telewizyjny.
22.50. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

17.35. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej.
18.05. Język rosyjski (23).
18.35. Język francuski (23).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00—23.00. KOSMOS 81.

Łomża, kino „Październik": 11—12 VI — „Indeks", prod. pol. (od lat 15); 13—15 VI — „Bufallo Bill i Indianie", prod. USA (od lat 12); 16—18 VI — „Szarża czyli przypomnienie kanonu", prod. pol. (od lat 12).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 11 VI — „Idealna para", prod. USA (od lat 15); 12—14 VI — „Hair", prod. USA (od lat 15); 16—17 VI — „Prom do Szwecji", prod. pol. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relax": 11 VI — „Nic nie stoi na przeszkodzie", prod. pol. (od lat 12); 12—14 VI — „Żandarm na emeryturze" prod. franc. (od lat 12); 15—16 VI — „Bądź błogosławiona", prod. bułg. (od lat 15); 17—18 VI — „Bobby Derfield", prod. USA (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza": 11 VI — „Kobieta i kobieta", prod. pol. (od lat 15); 13—14 VI — „Powrót do domu", prod. USA (od lat 15); 17—18 VI — „Zabity na śmierć", prod. USA (od lat 15).

Kolno, kino, „Wrzos": 11—12 VI — „Omen", prod. ang. (od lat 18); 13—14 VI — „Brawurowe porwanie", prod. USA (od lat 13); 15—17 VI — „Prawdziwe życie Drakuli", prod. rum. (od lat 15).

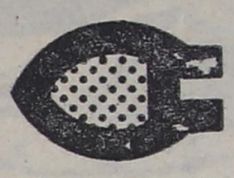
Nowogród, kino „Ziemowit": 13—14 VI — „Pałac", prod. pol. (od lat 18); 16—17 VI — „Nieśmiertelni", prod. rum. (od lat 15).

Stawiski, kino „Saturn": 11—12 VI — „Mężczyzna w lodenie", prod. rum. (od lat 12); 13—14 VI — „Ale kino", prod. USA (od lat 15); 16—17 VI — „Przypływ uczuć", prod. franc. (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 11—14 VI — seanse zamknięte; 16—21 VI — „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce" prod. pol. (bez ograniczeń).

Zambrów, kino „Kosmos": 11 VI — „Nowy Don Juan", prod. NRD (od lat 15); 12—13 VI — „Ojciec chrzestny II", prod. USA (od lat 18); 14—15 VI — „Piraci XX wieku", prod. radz. (bez ograniczeń); 16—17 VI „Niebieskie kołnierzyki" prod. USA (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.



Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): E. Zajączkowski (?): „Samochód pasażerski w Łomży" (około 1928 r.).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Wojtek Surawski — „Cień".

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: „Przyroda — twój przyjaciel" — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci z województwa łomżyńskiego (do 15 VI).

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): pokaz prac plastycznych środowiska łomżyńskiego (od 14 VI).



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00 **Wystawy:** „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa (ze zbiorów własnych) prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu; „Szczęśliwy naród, który ma poetę..." — wystawa poświęcona Czesławowi Miłoszowi (od 17 VI).

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bratnymi. 2) W Dworku z Brzóżek wystawa archeologiczna „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. **Wystawy stałe:** 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. **Wystawa czasowa:** „Kwiaty" — malarstwo Jana Kulikowskiego.



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „I mogę być spokojny o to, co kochałem" — wieczór poezji Czesława Miłosza (recytują Olgierd Łukaszewicz i Stanisław Klawe), 16 VI, godz. 18.00 i 20.30 (bilety do nabycia w Dziale Imprez WDK, III piętro).

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: „Pożegnanie szkoły" — impreza dla dzieci, 11 VI; przegląd plastyki dziecięcej, 10—31 VI.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „Dni Morza" — wystawa rysunków dziecięcych, 16 VI.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszy: nauka tańca dla dzieci, 11 VI, godz. 17.00.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Gielczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.
Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 13 VI — ASO „Polmozbyt" w Grajewie, ul. Marchlewskiego 33 a, tel. 24-22; 14 VI — ASO WUSP w Kolnie, ul. Targowa 6, tel. 22-47.

numery kierunkowe telefonów

Łomża — Wizna	775
Łomża — Śniadowo	761
Łomża — Bożejewo	771
Łomża — Bronowo	773
Łomża — Nowogród	765
Łomża — Przytuły	770
Łomża — Burzyn	75
Łomża — Wys. Maz.	86
Łomża — Drozdowo	74
Łomża — Kownaty	72
Łomża — Podgórz	73
Łomża — Miastkowo	78
Łomża — Piątnica	763
Łomża — Rogienice	70
Łomża — Szczepankowo	79
Łomża — Kolno	87
Kolno — Łomża	8
Łomża — Ostrołęka	88
Ostrołęka — Łomża	61
Łomża — Warszawa	82
Warszawa — Łomża	886
Łomża — Białystok	85
Białystok — Łomża	0861
Zambrów — Łomża	861

BEZ PARDONU ● BEZ PARDONU w Wysokiem Mazowieckiem

Kontynuujemy cykl wywiadów z gospodarzami łomżyńskich miast i gmin.

Wszystkich Czytelników z Wysokiego Mazowieckiego, którym nie są obojętne sprawy ich środowiska prosimy i zgłaszanie pytań, problemów, wniosków. Przedstawimy je miejscowym władzom w kolejnym wywiadzie „Bez pardonu".

Czekamy na listy. Przesyłajcie pod adresem: „Kontakty", ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża z dopiskiem na kopercie „Bez pardonu". O terminie publicznej rozmowy zawiadomimy w jednym z kolejnych numerów.

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR. **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter — Gabor Lőrinczy. Redaktor graficzny — Zbigniew Henczel. Korekta — Elżbieta Słupska. **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Henryk Kin, Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Mocarski, Mateusz Goebel. **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10 18-400 Łomża. Tel. 34-95, 40-22, telex — 853249. **WYDAWCA:** RSW „Prasa-Książka-Ruch", Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 965/81. Nakład 22.250 **A4** PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyd. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny



Walka smoka z lwem. Miedzioryt Zaana Andrei. Reprodukcja Włodzimierza Cieslowskiego

DONOS NR 12

W dobie małych reform, reform średnich i wcale dużych, reform z gumką, reform bez gumki, reform na szelki i z golfem oraz wszelkich innych posunięć, wciąż trzymamy się kurczowo kultu jednostki. Te zaś bywają prężne, wysokoprężne, zaciężne i przeciążone, ale zawsze kultywowane pieczołowicie. Ostatnio niezwykle modny jest kult świńskiego ryja (jakby innych było mało). Każdy ryj błogosławi, że niby ów od głodu nas zbawi. Na ryj potrzeba większych dotacji, z ryjem nie można bez demokracji. On nas na nogi mocno postawi, on nam pozwoli wskoczyć na wyższe grzędy i zawojować wszystkie urzędy. Nareszcie będziemy syci, gdy ryj w apartamentach bonzów zaszczyci. On naszą radością, słońcem, natchnieniem. Podźwignie życia kulturę i ciepłem napełni kieszenie.

Jakby na całość nie zerkać, widać wszystko jak w sąsiedzkiej kieszeni. Nie będzie szmeru, ni krzyku, jak będzie świnia... na świeczniku. No to, knoty — do roboty!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

W piekle są przebicia. Najpierw szeregowy kusy przebił się do trybuny, później grupa szarych ogonów wtargnęła do ministerstwa, aż wreszcie posunięto się do mydlenia rogatych braci i sprzedawania ich jako bydła na targach (podwyżki zawsze mają głębszy sens, gdy umie się z nich korzystać).

Na giełdzie miotły szły jak wóda, mimo wygórowanych cen. Szczególnym popytem cieszyły się te karbowane, z wyraźnymi śladami cięć inwestycyjnych. Ze względu na limitowanie chrustu mało było wyrobów pełnogałęzistych, a dominowały raczej chrustooszczędne. Przebąkuje się nawet o bezchrustowcach — jako miotłach przyszłości. Wiadomo, że wiedźmom tylko o kij chodzi, więc nie trzeba komplikować sprawy.

WYTYCZNE

Podatek od nadwagi gwarantem równowagi.

WSKAZÓWKI

Z moździerzem łatwiej stać pod pręgierzem.

TWÓRCZOŚĆ

Napięcie spada. Tylko szkoda, że w przewodach.

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości podał TADEUSZ CHARMUSZKO

DONOS PECHOWY

Coś mnie pili od północka. Wprawdzie świt mi niestraszny, bo piekielnemu kogutowi łeb ukręciłem (i innym w moje ślady iść radzę), ale ta chandra dolarowa nie daje mi spokoju.

Co jest gwizdane, do stu dzięciołów mocno dziobanych? Ponoć piekło centralne narządem stoi. Deszcz nań leje, narząd rdzewieje, oj dana, dana, reglamentacjo kochana. A odczep się wreszcie, czorcie, od tej reglamentacji! Wszak powody są, powódki — też, a kiesa pusta. Tu i ówdzie przebąkują, że winna temu jest rozpusta.

W każdym bądź razie pech mnie ściga. Ostatnio dopadł mnie na przełomie majowo-czerwcowym i polał obficie deficytową smołą. Kudły przez to mam paskudnie zlepione, nie zaś — jak niektórzy twierdzą — przez kryzys detergentowy. Przecież detergenty z powodzeniem zastąpiono decydentami.

Trudności piętrzą się na każdym wieżowcu, ale tradycja w narodzie jest wiecznie żywa. Łezka w oku się kręci, kiedy wspominam, jak to dawnymi czasy we wszystkich domach były bony. I patrzcie, teraz także są!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy uniosły się honorem, humorem i innymi częściami ciała oraz zdecydowanie dały w pysk piekielnym decydentom, którzy chcieli pozbawić je tej odrobiny chrustu, jaka potrzebna jest na miotłę. Dwugłosów nie było, chyba że dwusapy.

Tegoroczne święto smażenia przebiegało pod znakiem Konstytucji III Nierządnej, a z nieba kapał istny dopust boży. Nie manifestowano także szerokiego pokazu rozkapslowywania butelek z piwem. Dochodziło tylko uroczyste hepanie z dziupli starej wierzby. Wszystko grało jak należy (z organami włącznie).

WYTYCZNE

Tak się sprężyć, by nie zatruć środowiska.

WSKAZÓWKI

Nie robić jaj z zer (a tym bardziej — jajecznicy)!

TWÓRCZOŚĆ

Cześć i chwała tej co dała (albo chociaż pożyczyła).

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości podał TADEUSZ CHARMUSZKO

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jeśli pamięć nas ze szczętem nie zawiodła, z pewnością przypominamy sobie, gdzie ostatnio przebywały cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Biebrzański, Bużański i Narwiański. Dzisiaj są już w zupełnie innym miejscu, a ponadto jest ich tylko trzech!

DOJLICKI: A ja ja ja jaj! Przepadł nasz kochany kolega Narwiański, zniknął doszczętnie, rozwiał się jak mgła jakaś sina, rozpłynął w niebycie, znieobecnił, odmaterializował...

BUŻAŃSKI: Przestańcie drzeć mordę, diable piekielny! Dzisiaj trzeba nam siedzieć cicho, jeśli my też nie mamy się znieobecnić.

BIEBRZAŃSKI: Morda w kubeł i nie bulgotać! Chwilę mamy krytyczną. Jeśli w ogóle może nas coś uratować, to tylko organizacja jakiegoś forum. Myślę, że musi być to forum myśli.

BUŻAŃSKI: Bardzo słuszna, a nawet mogę powiedzieć, że jedyna rada. Cóż bowiem więcej może nas uratować? Usiądziemy, przeprowadzimy dyskurs, opublikujemy materiały zwracające szczególną uwagę na aspekty kontrrewolucyjne.

BIEBRZAŃSKI: Proponuję dodać jeszcze aspekty destrukcyjne oraz organizacyjno-policyjne.

DOJLICKI: Sięgniemy do naszych wypróbowanych wzorów demagogii, uderzymy w wysokie C, całość ma być z przypiardem, inaczej nie da rady.

BUŻAŃSKI: Powiem więcej i dosadniej, inaczej koniec będzie z nami nieodwołalny! Kalepitus duptus. Kapiec.

DOJLICKI: Zatem, od kogo lub od czego, zaczynamy potępianie? Gdzie, naszym zdaniem, powinna się znaleźć największa liczba najzatwardzialszych przeciwników diabelszczyzny?

BIEBRZAŃSKI: A co za różnica? Musimy ogłosić, że wszędzie. Im więcej ogłosimy, tym lepiej zrobimy. Sytuacja jest bowiem taka, że już skromna siła anty nam do ratunku nie wystarczy.

DOJLICKI: Spieszmy się zatem, zwierajmy swe szeregi! Chytrość i podłość miejmy wpisane na naszym sztandarze!

BIEBRZAŃSKI: Czegóż tak grzmicie z grubej rury, diabelski wale? Trzeba nam działać, nie gadać! Kilka różnych, dogłębnie przemyślanych prowokacji spaliło na panewce. Tym razem to już nasza ostatnia szansa.

BUŻAŃSKI: Koledzy! W tak zwanym międzyczasie ułożyłem poemat. Jeśli nie chcecie, to posłuchajcie:

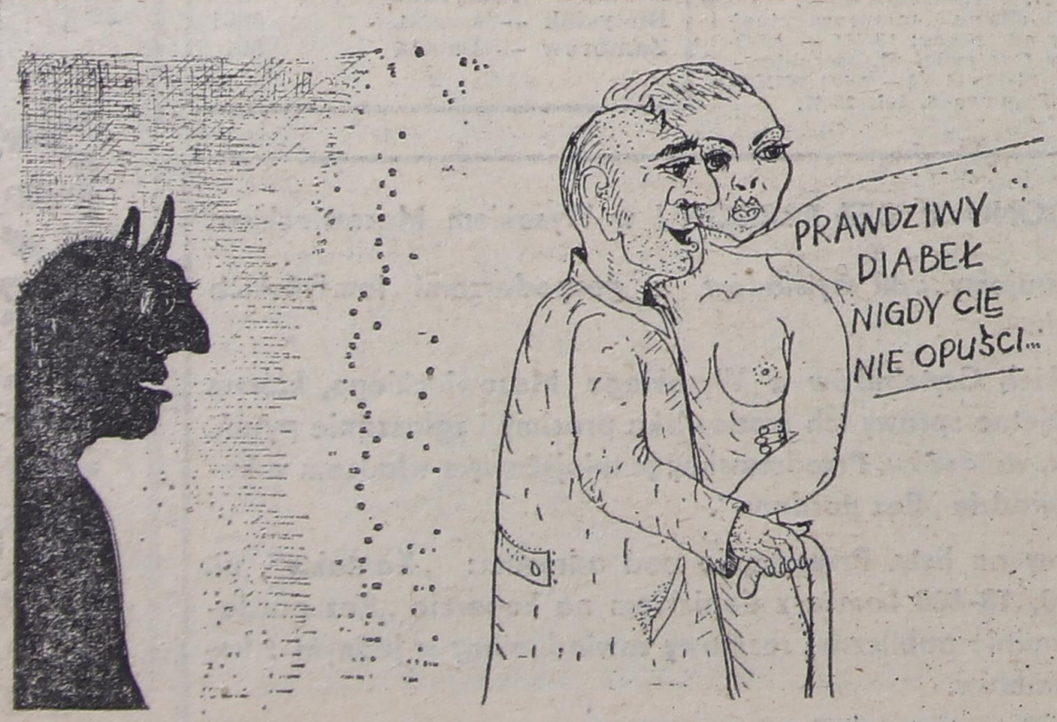
Wiatr historii lodowaty powiał
od południa

Choć ta wiosna,
chociaż czerwiec
a ziąb jak za grudnia...

DOJLICKI: Iiii...

BUŻAŃSKI: Czego chcecie, diable piekielny? Literacki to ten poemat nie jest, ale za to jaki ma sens! *(Diabły kiwają głowami. Nawet Dojlicki dał się częściowo przekonać. Co będzie dalej, zobaczymy!)*

WIESŁAW TOMASZEWSKI





Rysunki Władysława Mścichowskiego.